

12442/4/18

PIOŃ

90.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 2 MAJA 1936 R. * NUMER 18 (135)

TREŚĆ: JADWIGA PRZEWORSKA: Stan i potrzeby muzealnictwa w Polsce *
M. CZERKAWSKA: Łąka. Przypływ. Olśnienie * W. GORDZIEJEW: Cenzura
literacka w starożytności * ANANJASZ ZAJĄCZKOWSKI: Z zagadnień kulturalnych
Tureji * XENIA ŻYTOMIRSKA: Piekwioł nieśmiertelny * Listy Bolesława Prusa



do Erazma Piltza, II * J. PUCIATA PAWLOWSKA: „Sport w Sztuce“ * AL. S.:
Idee * BOHDAN KORZENIEWSKI: Teatr * OFB: Sprawy niemieckie *
W. BAK: Przegląd prasy * STANISŁAW ROGOŻ: Kronika * (UT): Mimocho-
dem * S. HESSEN: List do Redakcji.

STAN I POTRZEBY MUZEALNICTWA W POLSCE*

Historja muzealnictwa w Polsce ma wybitnie swoisty i odrębny charakter. Ciężkie i twarde warunki polityczne Państwa od końca XVII w. aż po dzień odzyskania Niepodległości odbiły się na wszystkich dziedzinach życia, łamiąc je, niszcząc, siejąc weździe spustoszenie. W czasie, kiedy idea muzealnictwa czy też oficjalnego kolekcjonerstwa nabiera na Zachodzie wielkiego rozmachu, krystalizuje się i stwarza nowe placówki życia artystycznego i kulturalnego, kiedy państwa i królowie udostępniają zbiory swe dla całego społeczeństwa, u nas zaborcy rozgrabiają cały skarbiec narodowy, dążą do zniszczenia całej wielowiekowej kultury, chcąc za wszelką cenę zatrzeć ślady wielkiej spuścizny. Przed straszną pożogą ostaje się tylko niewielka ilość prywatnych zbiorów magnackich, których kilka przetrwało po dzień dzisiejszy. Lecz w tym najkrytyczniejszym momencie niezłomna wola jednostek, często za dziwaków i fanatyków uważana, podejmuje wielki wysiłek ratowania za wszelką cenę tych resztek, które niebicie świadczyły o wielkości i odrębności historycznej i kulturalnej Narodu. I w tym właśnie tkwi przedewszystkiem swoistość muzeów polskich, że pierwsi inicjatorzy i twórcy ich nie byli tylko maniakami — kolekcjonerami, spotykającymi tak często na Zachodzie, lecz byli to ludzie, którym przyświecała przedewszystkiem idea zachowania i przekazania potomności najbardziej oczywistych dokumentów dawnej świetności i bogactwa kulturalnego gnieźdzonej Ojczyzny — idea stworzenia pewnego rodzaju sanktuarjów narodowych. Toteż, kiedy zakładaniu i tworzeniu się muzeów w całej prawie Europie patronuje państwo i ono jest właścicielem zbiorów, u nas inicjatywa wychodzi od społeczeństwa, które widzi w idei zakładania muzeów jeden ze środków podtrzymania i zespolenia podpadającego ducha przez wykazywanie i podkreślanie w zbiorach przedewszystkiem odrębności i świetności historii i kultury polskiej oraz martyrologji i poświęcenia najbliższych nam pokoleń.

Zasadnicze te cechy, które zdają się powoli zanikać w dzisiejszym nastawieniu naszego muzealnictwa, odbiły się jednak bardzo i na odrębności organizacyjnej samych muzeów. Trzy dziedziny Polski, rządzone przez trzech różnych w istocie zaborców, dawały inne możliwości zakładania muzeów, inne też przedstawiały do pokonania trudności. Jeżeli bowiem Austriacy tolerowali już pod koniec XIX w. społeczną inicjatywę tworzenia muzeów polskich pod patronatem miast, a nawet pod presją targów politycznych dopomagali czasem w rozwoju muzeów miejskich, to Niemcy, chcąc wszędzie zaszczerpać t. zw. kulturę niemiecką, zakładali muzea niemieckie, jako prowincjonalne filjacje muzeów pruskich i wszelką inicjatywę polską starali się tłumić w zarodku. Lecz i tu i tam praca społeczna nie ustawała. Inaczej też przedstawiała się sprawa na terenie dawnego zaboru rosyjskiego, gdzie całokształt zagadnień kulturalnych i artystycznych ciążył wyłącznie na barkach społeczeństwa i gdzie aż do czasu odzyskania Niepodległości cały ciężar utrzymywania placówek muzealnych ponosiło wyłącznie społeczeństwo, zrzeszone w ideowych i naukowych związkach. Silna więc idea pobudzała też pracę na emigracji, gdzie powstają duże zbiory, jak rapperswilskie, batignolskie i Biblioteki

Polskiej w Paryżu oraz prywatne, obecnie prawie wszystkie do kraju przewiezione.

Okres wielkiej wojny — to okres zniszczenia wielu zbiorów prywatnych, muzeów rodzinnych, — ośrodków kultury polskiej na kresach. Lecz już wówczas znajdują się całe szeregi ludzi, którzy zaczynają samorzutnie ratować, chronić i przechowywać nierozgrabione i niewywiezione jeszcze resztki. I kiedy nadszedł Dzień Niepodległości szybko zaczęły odżywać nasze zbiory. Ofiarność społeczeństwa była tak ogromna, że wkrótce liczba muzeów i zbiorów podwoiła się.

Okres krystalizacji państwowości polskiej w ogromie swych zadań nie pozwalała na bezpośrednie przejęcie muzealnictwa przez Państwo. Tworzy się wprawdzie cały szereg instytucji muzealnych, jak Państwowe Zbiory Sztuki, Muzeum Wojska i t. p., wracając państwowe zbiory rewindykowane z Rosji, odżywają wnętrza zamków królewskich i Łazienek, lecz Państwo zaabsorbowane ważniejszymi i pilniejszymi sprawami pozostawia nadal swobodę inicjatywie społecznej, która z każdym rokiem nabiera więcej rozmachu. Tem też należy tłumaczyć dzisiejszy stan muzealnictwa w Polsce, dla którego charakterystyczne są poniższe dane, dotyczące właścicieli muzeów publicznych w Polsce. (Dane te nie obejmują zbiorów specjalnych przy zakładach naukowych, niedostępnych dla publiczności). Na ogólną cyfrę 134 muzeów publicznych w Polsce, z których 66 istniało już od roku 1915, 20 jest państwowych, 33 samorządowych, 62 społecznych, 8 diecezjalnych i 11 prywatnych o charakterze publicznym. Liczby te same mówią znowu o odrębności organizacyjnej poszczególnych jednostek muzealnych i wskazują, że uregulowanie polityki muzealnej w Polsce nie może opierać się na żadnych wzorach, zapożyczonych od innych państw europejskich. Sprawa bowiem ogólnej gospodarki muzealnej w państwach, gdzie większość muzeów należy do państwa, podporządkowana jest przeważnie Generalnym Dyrekcjom Muzeów, podległym Ministerstwu Oświaty, które przy udziale wszystkich dyrektorów muzeów państwowych, nietylko omawiają szczegółowo program i zakres działania poszczególnych muzeów, lecz również dzielą ogólne sumy, przeznaczone przez państwo na cele muzealne, w miarę przedkładanych istotnych potrzeb. Muzea natomiast samorządowe i społeczne nie podlegają opiece państwowej, a tyll o w wypadkach, kiedy korzystają z subwencji państwowych czyto w gotówce, czy też w formie darowizny lub depozytu wieczystego obiektów muzealnych, otrzymują komisarza, wyznaczonego przez państwo; bywa również, że muzeum, subwencjonowane przez państwo, zostaje w niektórych wypadkach podporządkowane ogólnym przepisom muzealnym państwowym.

Toteż kiedy spontaniczny ruch muzealny zaczął nabierać w Polsce zbyt szeroki i nieskoordynowany rozmiarów, kiedy na niektórych terenach ilość małych muzeów przekraczała możliwości i potrzeby ich mieszkańców (co uwidoczniło się nie-

tylko w złych bardzo warunkach lokalowych i finansowych, ale nawet w niezdrównej rywalizacji sąsiadujących muzeów), stało się nieodzowną koniecznością uregulowanie i uporządkowanie gospodarki muzealnej na terenie całej Rzeczypospolitej. Ze zaś unormowanie stosunków w muzealnictwie wypływało rzeczywicie z potrzeb terenowych, najlepiej o tem świadczy fakt, że kiedy Ministerstwo W. R. i O. P. przystąpiło do opracowania ustawy muzealnej, wnocześnie Związek Muzeów w Polsce podjął tę samą myśl i przedłożył Ministerstwu projekt ustawy o opiece nad muzeami, uchwalony przez VIII Zjazd Delegatów w Przemyslu dnia 19 września 1932 roku. Ogólne też zasady przedłożonego projektu pokrywały się w zupełności z zamierzeniami Ministerstwa. Ustawą z urz. 28 marca 1933 r. o opiece nad muzeami publicznymi powierzony więc został nadzór i opieka nad muzeami publicznymi Ministrowi W. R. i O. P. w zakresie naukowym, artystycznym, technicznym i organizacyjnym. Ministrowi W. R. i O. P. zastrzeżone zostało również prawo udzielania zezwoleń na założenie muzeów publicznych i zatwierdzenie statutów, co właśnie ma na celu przedewszystkiem uregulowanie, unormowanie i skoordynowanie całej polityki muzealnej. Jako organ doradczy i opiniodawczy została stworzona przy Ministrze W. R. i O. P. Państwowa Rada Muzealna, której organizację i zakres działania określa rozporządzenie z dnia 13 lutego 1935 r. o Państwowej Radzie Muzealnej.

I tak wchodząc obecnie w nową fazę organizacji muzealnictwa w Polsce, należy sobie przedewszystkiem uświadomić, jak przedstawia się stan faktyczny muzeów. Nie będąc się tu zajmowała szczegółowo rozmieszczeniem i ogólnym charakterem poszczególnych muzeów, gdyż z jednej strony uwidoczniła to mapa opracowana na podstawie stanu z 1935 r., z drugiej zaś strony z rozmieszczeniem i zasięgiem muzeów zapoznał nas докладnie prof. Wł. Antoniewicz w pracy swjej pod tytułem *Zagadnienie sieci muzeów regionalnych w Polsce*.

Objęcie biorąc, istniejące już muzea można do pewnego stopnia podzielić na kilka typów, choć typów tych nie da się z całą dokładnością wyodrębnić.

A więc muzea o charakterze 1^o, centralnym, jak Państwowe Muzeum Zoologiczne, Państwowe Muzeum Archeologiczne, Muzeum Fizjograficzne Polskiej Akademji Umiejętności, Muzea Narodowe, Muzeum Kolejowe, Muzeum Przemysłu i Techniki i t. p.; 2^o, o charakterze ogólnie światowym, jak np. Muzeum Czartoryskich w Krakowie i Gołuchowie, Muzeum w Kórnku, Muzeum Bartoszewiczów w Łodzi, Muzeum Krasińskich i Zbiory Zamojskich w Warszawie, Zbiory Wilanowskie i t. p.; 3^o, Muzea ogólnopolskie, jak np. Muzeum Śląskie w Katowicach, Zbiory Tow. Zachęty w Warszawie, Galeria Malarstwa we Lwowie, galerja malarstwa Muzeum Miejskiego w Bydgoszczy i t. p.; 4^o, Muzea okręgowe, jak Muzeum Miejskie w Toruniu, Muzeum Archeologiczne U. S. B. i Muzeum Etnograficzne U. S. B. w Wilnie, Muzeum Pokuckie w Stanisławowie, Muzeum Podolskie w Tarnopolu i t. p., których zasięg działalności obejmuje całe województwo, czyli raczej okrąg administracyjny, niż etniczny, czy też fizjograficzny lub historyczny. Do tego typu zaliczyć należy również i muzea diecezjalne, których zasięg obejmuje poszczególne diecezje, a więc pewnego rodzaju wydzielone okręgi kościelne.

ŁĄKA

*Nad złotym kurzem polnej drogi
samolotami trzmielarz burczą.
Południem białe głogi płoną — —
i czym tu poetycka twórczość?*

*Niewypłowiały Boga hotel
pragniemy zająć choć przez chwilę,
a w rytm tęsknoty uwikłani
spadamy tarnin żółtkłym pyłem.*

*Urwiska granatowe lasów,
snu pamięć, jawę będą śpiewać?
Powiew z bezczasu się porywa
i zamiast słów szeleszczą drzewa.*

*Zakłęcie smutku, czarna dobra,
po sercu dzień pełzanie grozy,
a w debrze z srebra dzwonki śpiewne
na opuszczonych rękach brzozy.*

*Cieniami nicość słów się błąka,
by z jałoweów ciemnych wieź
łąka objawić mi się mogła
jak napięknieszki ziemi wiersz.*

PRZYPŁYW

*Drgnęły żagle, trąciły się lodzie,
westchnęły bazyły przy didze.
Od horyzontu
zielony, spieniony,
idzie.*

*Ruda dziewczka z żeglarskiej tawerny
zarlocznie się rzuca jak mewa — — —
Raz wreszcie chwyci
w zhańbione ramiona
świętość miłości, ocean.*

OLŚNIENIE

*Nieobecnemu
śpiewa kwiat jableczny
uniesiony nad młodą zielenią.
Kwitnie ptak*

*zwisający z gałęzi słonecznej
pomiędzy niebem a ziemią.*

*Kraj sfalowany
wzgórzami szeroko,
wsparty ufnie na lasach niebieskich.
Jak sięgnie oko,
w blasku, w cieniu, wszystkie ścieżki
wiodą ku nieobecnemu.*

*Nieobecnemu
uśmiecha się dom
oknami otwartymi na przestrzał.
Grają mu
w pokojach rozświetlonych porankiem
błękitne skrzyplce powietrza.*

*Podniósł leb w górę
podpalany pies,
co przed chwilą apatycznie drzemal.
Patrzy w wieś — —
węsząc radośnie, zaczyna iść —
idzie ku nieobecnemu.*

*Dalekie dobra,
nieświadome zlego,
jak las jodłowy w rosie i storczykach,
olśnione serce
gęstwina w sobie zamyka
obecność nieobecnego.*

M. CZERKAWSKA

* Referat oficjalny na Państwowej Radzie Muzealnej.

K 1669/86/21

Biblioteka
Uniwersytecki
Klasyczny

5°, odrębny typ tworzą też muzea regionalne i t. zw. ziemskie, z których pierwsze obejmują mniej więcej dość ściśle określony teren etniczny lub przyrodniczy, jak np. Muzeum Etnograficzne P. T. K. w Łowiczu, Muzeum Kurpiowskie P. T. K. w Nowogrodzie Łomżyńskim, Muzeum „Bojkowszczyzna” w Samborze, Muzeum przyrodnicze w Białowieży, lub tworzące się Muzeum Huculskie w Żabiem. Zbliżone są do nich w ogólnym swym charakterze muzea t. zw. ziemskie, które jednak nie obejmują całego regionu, a jedynie pewne wydzielone z nich tereny, odpowiadające w większości wypadków dawnemu podziałowi Polski historycznej, jak np. Muzeum Ziemi Sąddeckiej w Nowym Sączu, Muzeum Ziemi Sanockiej w Sanoku, Muzeum Ziemi Wieluńskiej w Wieluniu, Muzeum Ziemi Bytomskiej w Chorzowie i t. p. 6°. W końcu osobny zupełnie typ stanowią muzea lokalne, jak Muzeum Historyczne Miasta Lwowa lub Poznania, Muzeum w Rabce, Dom Matejki w Krakowie i t. p.

Chaos ten, panujący w podziale terytorjalnym zasięgu poszczególnych muzeów, potęguje jeszcze brak określonego programu i terenu pracy pojedynczych komórek oraz brak kwalifikowanego personelu. Wyżej więc przytoczony podział raczej należy uważać do pewnego stopnia za teoretyczny, gdyż częstokroć mimo ogólnego nastawienia w muzeum na pracę, odpowiadającą jego stanowi, w istocie są to dopiero właściwie w wielu wypadkach usiłowania do stworzenia instytucji, odpowiadających nie tylko nazwie, lecz i zadaniom nakreślonym w statutach.

Obecnie przejdę do ogólnego scharakteryzowania poszczególnych działów naszego muzealnictwa. Najlepiej pod względem organizacyjnym i jakościowym przedstawia się sprawa muzeów technicznych, które powstały w ostatnich latach. Całkowicie zagadnień został bowiem scentralizowany do pewnego stopnia w Muzeum Przemysłu i Techniki, które po opracowaniu szczegółowego programu działalności uzgodniło swe poczynania z istniejącymi już muzeami, jak Muzeum Kolejowe i Muzeum Wodociągów i Kanalizacji, oraz nawiązało kontakt z Muzeum Poczty i Telekomunikacji i objęło swym zasięgiem teren całej Rzeczypospolitej jako muzeum centralne. Na przeszkodzie jednak wykonaniu całego programu stoi przede wszystkim brak odpowiedniego pomieszczenia i finansów dla zrealizowania opracowanego projektu budowlanego. Muzeum Przemysłu i Techniki, oraz Muzeum Kolejowe zasługuje na specjalne wyróżnienie ze względu na swe naukowe, dydaktyczne i propagandowe nastawienie. W ubiegłym roku przystąpiono również do stworzenia specjalnego ośrodka technicznego w terenie przez zorganizowanie pewnego rodzaju „skansenu” technicznego w Sielcu Wielkiej dla Zagłębia Staropolskiego. Zagadnienie muzeów technicznych jest jednak całkowicie odrębne i specjalne i nie wkracza bezpośrednio w orbitę działalności muzeów prowincjonalnych.

Zagadnieniem natomiast, interesującym większość muzeologów regionalnych, jest sprawa muzeów i działów przyrodniczych. Poza bowiem ośrodkami centralnymi, jak Państwowe Muzeum Zoologiczne i Muzeum Fizjograficzne P. A. U., oraz mniejszymi muzeami przyrodniczymi w Białowieży, Truskawcu, na Helu, w Łodzi, w Grodnie, w Poznaniu, Katowicach, i we Lwowie (Dziędużycy), we wszystkich prawie innych muzeach okręgowych czy regionalnych działy przyrodnicze są jakąś bliżej nieokreśloną przyczepką, nie dającą żadnego wyobrażenia o charakterze i odrębności danego regionu przyrodniczego. Są to przeważnie zbiory o charakterze amatorskim, które tylko w niektórych wypadkach mogą zaledwie służyć jako ilustracje do pomocy naukowej szkolnej. Opracowanie pewnego programu i dyrektyw, jak i co należy zbierać, gdzie i jakie zbiory przyrodnicze mają rację bytu i w których muzeach powinny się znajdować, to nietylko rola centralnych muzeów przyrodniczych, lecz i najbliższych zakładów naukowych. Prowadząc bowiem naukowe badania terenowe, mogą one w wielkim stopniu współdziałać przy organizowaniu i tworzeniu oraz opracowywaniu działów przyrodniczych z wielką korzyścią dla nauki i popularyzacji nauk przyrodniczych w najszerszych warstwach społecznych.

Inaczej, lecz niemniej chaotycznie przedstawia się sprawa zbiorów archeologicznych, na które zapanowała w ostatnim czasie formalna moda, odsuwając niejednokrotnie wszystkie inne działy w muzeach prowincjonalnych na plan drugi. Rzekome to zamiłowanie do archeologii przedhistorycznej łatwo sobie wytłumaczyć tem, że jest to obecnie może najłatwiejsza zdobycz, zwłaszcza jeżeli chodzi o szybki wzrost ilości eksponatów w muzeach. Niema prawie takiego zakątka Polski, gdzieby nie znajdowano przypadkowo przy robotach ziemnych lub przy robotach w polu przedhito-

rycznych cmentarzysk. W dość częstych wypadkach, kiedy delegacji Państwowego Muzeum Archeologicznego z tych lub innych przyczyn nie mogą się zainteresować lub zbadać na miejscu wykopaliści i niemi się zaopiekować, kierownicy muzeów rzucają się na swą zdobycz i bez względu na wartość znaleziska włączają odczynki, jak im się wydaje, kolekcje zbiorów do muzeum. Lecz dziwić się takiemu stanowi rzeczy nie należy, gdyż i na tem polu wyczuwa się silny brak ścisłej i planowej współpracy większych muzeów z mniejszemi i wzajemnego zrozumienia wspólnych interesów muzealnych. Wprawdzie istniejące już ośrodki centralne, jak Państwowe Muzeum Archeologiczne, Muzeum Archeologiczne P. A. U., Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu, oraz mniejsze placówki w Wilnie, Lwowie, Łodzi i Toruniu, tudzież wszystkie zakłady uniwersyteckie, — prowadzą badania terenowe i czuwają nad pracami prowadzonymi w terenie, widoczny jest jednak brak koordynacji pracy oraz całkowitego zrozumienia dla pracy muzeów regionalnych. Brak opieki nad mniejszemi zbiorami oraz nie należyte wyzyskiwanie drobnych pla-

cówek muzealnych, a nawet pomijanie ich przy prowadzeniu badań i gromadzeniu zbiorów oraz prowadzeniu akcji ratowniczej w terenie należy do często spotykanych objawów. Dla nikogo jednak nie jest tajemnicą, jak wielkie czasem zasługi położyli archeolodzy-amatorzy, którzy z wielkiego zamilowania umieli w ostatniej nieraz chwili ratować nieocenione skarby dla nauki. I właśnie tu leży ważne zadanie przed Państwem Muzeum Archeologicznym, aby przez stworzenie racjonalnej sieci działów archeologicznych przy muzeach prowincjonalnych opanować cały teren i skierować młodsze pokolenie archeologów na odpowiednie tory. Nie ulega bowiem wątpliwości, że na takim rozbiću i rozproszeniu zbiorów archeologicznych po wszystkich prawie najmniejszych nawet muzeach, nie posiadających możności znajomości archeologii i opieki fachowej, cierpią nietylko zbiory, lecz i nauka. Na uzgodnienie całej akcji terenowej i ścisłej współpracy wszystkich interesujących się archeologią muzeów zyskałoby niewątpliwie i Państwo Muzeum Archeologiczne i wszystkie muzea prowincjonalne.

JADWIGA PRZEWORSKA

CENZURA LITERACKA W STAROŻYTNości

Kontrola i nadzór państwa nad słowem pisanem i mówionem, zmierzające do zapobiegania szkodliwym z punktu widzenia państwa wpływom, jakie nieraz może wyrzucić na społeczeństwo literatura, nie jest wynalazkiem czasów nowożytnych. Wprost przeciwnie — można śmiało powiedzieć, że państwowa cenzura produkcji literackiej istnieje nieprzerwanym niemal ciągiem od początku wieku V przed Chr. poprzez całą starożytność i średniowiecze — kiedy to rolę surowego cenzora przejął Kościół — aż do naszych czasów. Mianowicie w r. 495 przed Chr. miała miejsce znamienna uchwała ateńskiego zgromadzenia ludowego, skazująca tragika Phrynichosa za wystawienie tragedji p. t. *Zdobyte Milety* na znaną przynajmniej i zakazującą na wieczne czasy dalszych przedstawień tej sztuki. W treści tragedji przedstawiającej upadek słynnego miasta, przewodzącego związkowi powstałym przeciw władzy perskiej miast joińskich, dopatrzono się nietylko religijnego występku przeciw majestatowi święta dionizyjskiego przez złowieszcze przypomnienie zdarzeń smutnej współczesności, lecz także wykroczenia politycznego: wpływanie ze sceny na bieg zdarzeń politycznych musiało się wydać ówczesnym sferom rządzącym „wysoce niepożądane”. Od tego też czasu państwo ateńskie roztoczyło ścisłą kontrolę nad sztukami przeznaczonymi do wystawiania w teatrach dionizyjskich, niewątpliwie z tego głównie względu, iż poezja dramatyczna docierała do widzów za zupełnie oficjalnym pośrednictwem i pod egidą państwa na państwowych przedstawieniach scenicznych. To też każdy poeta, ubiegający się o wystawienie swej sztuki, musiał złożyć ją do zaoprobowania urzędnikowi (archontowi), mającemu pieczę nad urządzeniem uroczystości. A że to nie była tylko formalność, świadczą o tem rekruty, jakie spotykały samego Sofoklesa, a także ojca komedji — Kratinosa. Niemniej przeto rozmiągnięciem politycznym, jakie opanowało scenę ateńską w okresie wojny peloponeskiej, zmusiło państwo do nadzwyczajnych kroków w celu pokrośnienia zuchwalności komedji politycznej, która w tym czasie stała się nietylko wyrazičką uwielbianej przez Ateńczyków bezgranicznej wolności słowa, lecz wogóle organem prasowym opozycji. Przedmiotem szczególnie ostrego ataku ze strony poetów-paszkwilantów był Perykles. To też z jego inicjatywy uchwalono — jeszcze przed wojną peloponeską — w czasie szczególnie niebezpiecznego powstania na wyspie Samos (r. 440 przed Chr.) ostrą ustawę „kagańcową” przeciw osobistym wypadom ze sceny. Na skutek usilnych starań opozycji jednak ta — niezbyt zresztą mile przez ludkę ateńską widziana — ustawa po trzech latach została zniesiona. Następca Peryklesa, Kleon, znany jako Paflagoińczyk z Rycerzy Arystofanesa, dwukrotnie występował na drogę sądową przeciwko zniewagom własnie tego poety. Gdy w r. 415 w całych Atenach wrzało z powodu przygotowań do fatalnej wyprawy ecylijskiej, stronnictwo Aleybiadesa przeforsowało ustawę ograniczającą swobodę zaczepki politycznych, praktykowanych przez komików. Lecz i ta próba nie odniosła lepszego skutku niż ustawa Peryklesa. Dopiero załamanie się polityczne Aten w końcu w. V i będąca jego skutkiem gruntowna zmiana warunków życia wewnętrznego powoli usunęły politykę

ze sceny, ale wraz z nią i samą t. zw. starą komedję attycką.

Lecz i w innych dziedzinach literatury oraz życia umysłowego ingerencja władz ateńskich, chociaż nie w tym stopniu, co w stosunku do sztuki scenicznej, dawała się nieraz we znaki zbyt wolnomyślnym duchom. I tak Anaksagorasa, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli joińskiej filozofji, skazał lud ateński na wygnanie z miasta za zbyt materialistyczne i bezbożne poglądy. Ciekawe jest, że w tychże czasach represje cenzuralne miały dotknąć sztukę plastyczną, i to w osobie samego Fidiasza. Zarzucono mu mianowicie bluźnierczy czyn umieszczenia swego i Peryklesa wizerunku na tarczy słynnej Ateny Parthenos. To oskarżenie, jak mówi Plutarch, stało się nawet głównym powodem uwięzienia i śmierci wielkiego twórcy. Również i proces Sokratesa był swego rodzaju aktem represyjnym, wymierzonym przeciw jego „gorszącej opinję publiczną” działalności pedagogicznej i, że tak powiem, publicystycznej. Zresztą od tego czasu filozofom wogóle zaczęło się niesławne powodzić w Atenach. Wielu Sokratyków musiało zaraz po procesie mistrza opuścić miasto w obawie przed przesładowaniami. Ale i w późniejszych czasach ze względu na swą wolnomyślność polityczną i moralną byli filozofowie stale osobami wysoce podejrzanymi dla „czynników miarodajnych”. Specjalnie solą w oku demokratów była ich niedwuznaczna awersja do ludowladztwa i sympatje dla oligarchji i monarchji. To też w roku 306 suwerenny lud ateński uchwalił wniosek demagoga Sofoklesa, niegodnego swego wielkiego imiennika, skazujący wszystkich filozofów na wygnanie, a ich szkoły na zamknięcie. Podobno zresztą i wielkiemu Arystotelesowi groził los Sokratesa: oskarżono i jego o bezbożność, jako że w hymnie ku czci zmarłego przyjaciela, Hermiasa, zbyt wielkie, jak na śmiertelnika przystało, honory mu oddał. Lecz rozstrony Stagiryta wołał zmienić niezdrowy klimat Attyki na wiejskie rozkosze pobliskiej Eubei, „niż dać Ateńczykom sposobność do popelnienia jeszcze jednej zbrodni na filozofji”.

Ciekawy przykład skrajnego konserwatyzmu dostarczają dzieje sztuki muzycznej w Sparcie: w uprawianiu jej tak starannie dbano o zachowanie niezmiennego, archaicznego charakteru instrumentów i melodyj, że gdy słynny w r. IV przed Chr. wirtuoz Timotheos miał dać w Sparcie koncert na swej ulepszonej 11-strunnej kitarze, eforowie spartańscy zlecieli usunięcie tych czterech dodatkowych strun, uniemożliwiając w ten sposób popis watora.

Bardzo niebezpiecznym zajęciem był w czasach hellenistycznych zawód paszkwalanta. Doświadczyl tego na sobie słynny poeta Sotades (III w. przed Chr.), który na dworze króla Lysymacha kpil z Ptolemeiosa, a w Aleksandrji podrwiwał sobie z Lysymacha. Ale gdy raz pewnego puścił zbyt złośliwy wierszyk o „siostrzanie” małżeństwie Ptolemeiosa II, przyłapał go oficer króla i, zapakowawszy go do ołowianej beczki, doraznym sądem osadził na dnie morza. Tego rodzaju wypadki jednak, a było ich więcej, należą raczej do osobistych porachunków władców z zuchwałcami, niż do przejawów świadomej i konsekwentnej woli państwowej.

Ta konsekwentna wola państwowa w

zakresie sprawowania nadzoru nad działalnością literacką nigdzie nie była wyraźniej akcentowana niż w starożytnym Rzymie. Już prawa dwunastu tabli karały śmiercią każdego, ktoby znieślawił obywatela przez pamflet (*carmen famosum*). To też jeden z pierwszych poetów rzymskich, Naevius, przypłacił swe zuchwale docinki, jakich nie szczędził możnym ówczesnego Rzymu, pręgiertem i wygnaniem. Z późniejszych już czasów notują źródła rzymskie dwa ciekawe procesy o zniesławienie, jakie wytoczyli aktorom — i zgodnie z ówczesną praktyką (koniec II w. przed Chr.) autorom grywanych przez siebie sztuk — ojciec satyry Lucilius i znakomity tragic Accius.

Gdy w wieku III przed Chr. wprowadzono w Rzymie za wzorem Grecji przedstawienia teatralne, poddano je podobnie jak w Atenach ścisłej kontroli władz państwowych. Poeta rzymski musiał również sztukę przeznaczoną do wystawienia przedstawić do aprobaty kierującemu urządzeniem widowiska urzędnikowi (z zasady edylowi). Ten, jako przeważnie w tego rodzaju sprawach niekompetentny, odsyłał poetę — o ile nie był to już renomowany i zaufany autor — do któregoś ze starszych jego kolegów, których opinja mogła być dla władz miarodajna. W każdym razie próba generalna odbywała się zawsze w obecności urzędowego przedstawiciela władzy, a samo przedstawienie mogło być w każdej chwili zawieszane przez najwyższego rangą urzędnika, obecnego na widowni.

Wynalazkiem rzymskim jest zresztą i sama instytucja „cenzury”. Zakres działania tego urzędu obejmował cprawda wogóle kontrolę nad wszelkimi dziedzinami życia publicznego i prywatnego, ale wśród nich i życie umysłowe Rzymu było nieraz przedmiotem ingerencji censorów. Gdy w połowie II w. przed Chr. hellenizm rozpoczął swój zdobywczy pochód poprzez „barbarzyńską” Italię, cenzura stała się poważnym środkiem walki sfer zachowawczych przeciwko inwazji greckiego nowatorstwa. W r. 161 uchwalił senat natychmiastowe wyprzedzenie z Rzymu retorów i filozofów. Gdy w roku 155 przybyło do Rzymu poselstwo ateńskie w składzie trzech filozofów — przedstawicieli trzech panujących kierunków filozoficznych, Kato Starszy, który był zresztą iniejatorem zapewne i uchwały z r. 161, postaral się grzeczniej wyprawić posłów z powrotem, nacisnąwszy senat, by szybciej zalałtłw skargę ateńską. On też sprawił, iż w r. 154 nakazano bezbożnym epikurejczykom, Alkaiosowi i Filiskosowi, opuścić mury rzymskie. W r. 92 przed Chr. partja ludowa uczyniła próbę stworzenia rektorycznej szkoły łacińskiej zamiast dotychczasowej, niemal wyłącznie greckiej. W obawie, że tego rodzaju łatwe, dla wszystkich dostępne wykształcenie odbije się niepomyślnie na ukształtowaniu się życia politycznego przez dopływ elementów radykalnych, cenzorowie zlecieli zamknąć szkoły łacińskie retorów.

W miarę postępów hellenizacji Rzymu łagodniała cprawda ostra kontrola państwowa nad życiem literackim. Mimo to uderzająca apolityczność literatury epoki republikańskiej Rzymu jest bez wątpienia skutkiem dążności władz rzymskich do trzymania życia umysłowego zdala od wypadków politycznych. Z całą namyślnością zato rzucili się poeci rzymscy w wir walk w okresie anarchji, poprzedzającym zgon republiki. Znany ten ton polityczny dość dobrze z pieśni Katulla: sekundował mu dzielnie przyjaciel ecedecny Licinius Calvus, porzuconą przez nich broń podjął Furius Bibaculus. Dlatego też August, usilnie dążący do ustabilizowania wewnętrznych stosunków imperjum, nie mało starał dołożyć do uspokojenia opozycyjnych nastrojów, nurtujących w ówczesnej literaturze. Świeża pamięć walk o republikę, romantyzm, jaki je otoczył, niezadowolnienie arystokratycznych kół stołecznych z jedynowladztwa sprawiły, iż opozycja polityczna znalazła walne poparcie w frondzie literatów rzymskich, o te właśnie kółla przedewszystkiem oparł. Już August musiał zrezygnować z łagodne taktiki i w końcu swego panowania zastosować ostre represje w stosunku do malkontentów. Z uchwały senatu spalono dzieła sławnego retora Titusa Labienusa, który przez dłuższy czas z furjją atakował w swych deklamacjach panującego ustrój. Zatkwardziły republikanin na wieść o tej zniewadze kazał się zanieść na groby przodków i tam popelnil samobójstwo. Również inny retor Cassius Severus doczekał się spalania swych mów i pamfletów, nadto jako niebezpiecznego opozycjonistę izolowano go na Krecie, a gdy i to nie ostudziło jego republikańskich zapalów, deportowano go na skalistą, samotną wyspę, gdzie w biedzie dokonal swego niespokojnego żywota. W r. 12 po nar. Chr. zlecił senat na wniosek Augusta wyszukać i spalić wszelkie paszkwile i ulotki, wymierzone przeciw wybitnym osobistościom Rzymu. Z akcją cenzuralną Augusta stoi w ścisłym związku wygnanie Owidjuszca. Twórczość tego poety stanęła w jaskrawej sprzeczności

z polityką Augusta na polu restytucji obyczajów, rozluźnionych mocno w okresie długotrwałych wojen domowych. Udział Owidiusza w nieznanym nam bliżej skandalu dworskim był już tylko zewnętrzna przyczyna usunięcia niewygodnego poety. Działalność Augusta kontynuował Tyberjusz: trzech poetów i historyki — Cremutius Cordus — przypłacili życiem swe antymonarchiczne sympatie. Retor Montanus za tyradę „przeciw tyranom“ musiał iść na wygnanie. Aktorów sceny mimicznej za ich aluzje i docinki przepędzono z Italii. Wszystkie te represje uchodzą na ogół za akty despotyzmu. Ten pogląd najzupełniej niesłuszny został ugruntowany przez zdecydowaną jednostronność naszych źródeł, które z reguły są niechętnie usposobione w stosunku do początną Cezarów. Tymczasem ta wroga akcja rządów imperatorskich przeciw literatom jest niczym innym jak tylko wytrwałą walką przeciw zaciekłej opozycji republikańskiej, jak to bardzo pięknie opisał Gaston Boissier w swej *L'opposition sous les Césars* (Paris, Hachette). O tem świadczy najlepiej fakt, że najbardziej bezwzględni w tej walce cesarze, jak Tyberjusz, Nero, Wespazjan, nawet Domicjan, byli bardzo mało czuli na zaczepki osobiste. Niemal za rolę w kształtowaniu tych nastrojów opozycyjnych odgrywali i wówczas filozofowie, zwłaszcza wyznawcy panującej wedy doktryny stoickiej; słynny Paetus Thrasea ginie dla swych stoickich

przekonań; ciekawe, że za Domicjana zostaje skazany Iunius Rusticus właśnie za napisanie panegiriku ku czci Thrasy, podobnie jak Herennius Senecio za pochwałę straconego przez Nerona stoika Helvidiusa Priscusa. Attalus za Tyberjusza, Seneka za Klaudjusza, Barea Soranus, Cornutus, Musonius, Rubellius, tenże Seneka za Nerona i wielu innych wyznawców stoicyzmu idzie na śmierć lub na wygnanie. Specjalnie ostre represje przeciw filozofom przedsięwzięto po wykryciu spisku Pizona przeciw Neronowi: zarówno Pizo, jak i inni spiskowcy należeli właśnie do czciliwi Katona Młodszego. Dlatego też energiczna dynastia Flawiuszów postanawia ostatecznie złamać frondę filozofów: w r. 71 Wespazjan wydaje edykt usuwający filozofów, z wyjątkiem jednego Musoniusa, z granic Italii. Domicjan dwukrotnie (w r. 89 i 93) powtarza edykt ojcowski.

Trudno jest wymienić wszystkie rzekome i prawdziwe ofiary „gniewu“ Cezarów. Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że literatura ówczesna — mowa o okresie po-awgu-
stowskim — z punktu widzenia ówczesnego systemu rządzenia, prącego do bezwzględnego złamania wszelkiego oporu, sama na siebie ściągnęła represje „cenzury“ cesarskiej. W obronie straconej, lecz romantycznej sprawy pierwsza rzuciła wyzwanie do walki; walkę tę przegrała: w II wieku po Chr. już nie mamy „opozycyjnej“ literatury.

W. GORDZIEJEW

Z ZAGADNIENIŃ KULTURALNYCH TURCJI

Gruntowne reformy i wielkie przeobrażenia, jakie zaszły w ostatnim dziesięcioleciu na terenie Turcji, znane są na ogół w Polsce raczej od swej strony zewnętrznej. Przyczyniły się do tego niewątpliwie w pierwszym rzędzie artykuły, informujące opinię społeczeństwa, a pochodzące od osób, które conajwyżej przewidywały się po powierzchni życia tureckiego, wskutek czego tylko zjawiska nieskomplikowane, a łatwo dostępalne, mogły przemówić do ich świadomości i wyobraźni.

Tej właśnie okoliczności zawdzięczać należy, że niema dziś chyba czytelnika w Polsce, któryby nie słyszał o zniesieniu fezdów w Turcji i wprowadzeniu europejskiego okrycia głowy, lub o rozwiązaniu zakonu derwiszów i zamknięciu klasztorów, lub wreszcie o przemaslowaniu szylków tak zawiłe ozdobionych literami arabskimi. Co więcej, mógłbym choćby ze swej praktyki pedagogicznej przytoczyć niejednen przykład tej przejaskrawionej popularności radykalnych reform tureckich, zauważonej nawet wśród młodych adeptów orientalistyki! Tak np. jeden z uczniów zakładu naukowego wschodnioznawczego, zapytany przez egzaminatora o rolę polityczną obecnego premiera Ismet-pasy w Turcji, odrzekł bez namysłu: „Zasłużył się Turcji, wprowadzając nowy alfabet laciński“. A więc na nie się zdały Ismet-pasy jego wielkie zwycięstwa na polu walki o niepodległość Turcji (warto uwaszaniem wspomnieć, że na pamiętkę tych walk parlament turecki obdarzył go nazwiskiem *In-önü* od nazwy miejscowości) oraz zaszczytne sukcesy w życiu wewnętrznym i parlamentu tureckim, a nadewszystko na nie się zdała zasługa Ismet-pasy jako wytrawnego dyplomaty, sygnatarjusza Turcji na traktacie w Lozannie, ustalającym właściwe granice dzisiejszego państwa tureckiego! Ismet-pasa w oczach współczesnych mu europejczyków zasłużył na uznanie dlatego, że wprowadził nowy alfabet!

Ten może nieco przydługi wstęp pozwoliłem sobie przytoczyć, aby podkreślić, jak przerost zainteresowań zewnętrznych przeważał nad życiem Turcji nowoczesnej przeszkadzając nam należycie ocenić i uświadomić sobie wagę i znaczenie innych przeobrażeń, mniej głośnych, ale nie mniej doniosłych. Z tych na pierwszy plan wysuwają się sprawy kultury tureckiej, znajdujące swój wyraz m. in. w literaturze i reformie językowej.

Zagadnienia kulturalne przedstawiają w Turcji obraz niezwykle skomplikowany. Kultura ludów tureckich w ciągu wieków ulega przemożnym wpływom obcych cywilizacji i stanowi dziś konglomerat różnorodnych elementów, z pośród których jeszcze najłatwiej da się wyeliminować trzy zasadnicze składniki: turecki, lub może ściślej „prototurecki“ (jak określa prof. Kowalski w *Turcji powojennej*), muzułmański i europejski. Pierwotne wierzenia religijne, własne formy organizacji rodowej, jak wreszcie — i może przedewszystkiem bardzo bogaty folklor i oryginalny przemysł ludowy tkacki składały się na tę typową kulturę nomadów, jaką reprezentuje najdawniejsza warstwa prototurecka. Dzięki niezwykle silnie u ludów tureckich zakorzenionemu konserwatyzmowi, ta pierwotna kultura nomadyzmu, wykazując znaczną oporność na wpływy obce, przetrwała stosunkowo w nieskażonej

postaci, aż do naszych dni, dlatego przy studiach porównawczych nad twórczością ludową turecką lub etnografią, każdego badacza uderzyć musi łatwość odnajdywania dziś wspólnych cech u ludów tureckich, czy to na obszarze Altaju, czy w Azji Środkowej, lub wreszcie w Anatolii.

Inaczej reagowały warstwy wyższe, łatwo zaszczepiające obce naleciałości na grunt turecki. Już na podstawie najstarszych, znanych nam zabytków językowych tureckich (np. napisy orchońskie z VIII w.), wnioskować możemy, jak silny wpływ prawie w każdej dziedzinie życia tureckiego wywarła kultura chińska, a są ślady i dowody ulegania wpływom kultury sogdyjskiej, irańskiej i t. d.

W zaraniu dziejów państwa Tureckiego, które tu nas przedewszystkiem interesuje, zaczyna się nawarstwienie drugiej kultury, kultury muzułmańskiej, i to w jej postaci najpierw arabskiej, a potem głównie perskiej. Proces zislamizowania ludów tureckich trwał zgórą dwa stulecia i został zakończony dopiero w X wieku. Prawie wszyscy Turcy przyjęli islam, który odtąd dzieli ich od pokrewnych im ludów mongolskich, wyznających buddyzm. Wpływ Islamu zaciążył nad całem życiem nie tylko politycznym i gospodarczym, ale i umysłowym Turcji w przeciągu długich wieków. W miarę co raz większych podbojów i rozrostu obszarów nowozałożonego w XIII w. państwa Osmańskiego, następowało szybkie zróżniczkowanie się społeczeństwa tureckiego oraz nie mniej szybkie przywieranie co raz to bardziej skomplikowanych form życia.

Własne formy hierarchji szczerpować zastąpiono organizacją państwa muzułmańskiego, naśladowując wzory perskie (choćby próby wprowadzenia urzędu wezyra, jako osoby pośredniczącej między panującym a poddanym); prosty układ życia domowego uległ gruntownym zmianom w duchu założeń przez prawo kanoniczne muzułmańskie; patriarchalny tryb życia naczelników rodu ustąpił miejsca ucztom, zabawom, a nieraz i wyuzdanym rozrywkom na bogatym dworze sułtańskim; natchniona twórczość ludowych rapsodów umilkła przed napuszonym, makaronicznym stylem poetów-dworaków... Warstwy niższe, reprezentujące lud wiejski Anatolii, próbował wprowadzić zniwelować wpływ Islamu, przeciwstawiając mu dawne wierzenia i zwyczaje pogańskie, a nieraz nawet przemycając je pod pozorem odbywanych praktyk religijnych. Natomiast warstwy oświecone były całkowicie opanowane przez wpływy kultury muzułmańskiej.

Może najsilniej wpływy te objawiły się w dziejach piśmiennictwa i języka tureckiego. Już w starszym okresie rozwoju języka Turków, pozostającym pod wpływem obcych kultur, przedostała się do mowy tureckiej spora ilość zapożyczeń: z chińskiego (np. *bursang* „gmina“, *czyn* „prawdź“, *kilen* „nosorożec“, *sucz* „grzech“), sogdyjskiego (np.: *azun* „byt, wszechświat“, *kady* „pani“, *uczmak* „raj“, *tamu* „piekło“), później z greckiego (np.: *demet* „snop, lukiet“, *anahtar* „klucz“, *panajir* „jarmark“) etc. Jednakowoż zapożyczenia te nie wykraczały poza dziedzinę leksykalną i w niczem nie naruszały zasadniczych praw języka tureckiego. Jeszcze z końcem XIV wieku język turecki występuje w zabytkach literackich w swej stosunkowo czystej postaci, i co najważniejsze cechuje te zabytki po dawnemu niezwykłą prostotą i jasnością stylu, wynikająca z przejrzystej budowy języka tureckiego. Na to zjawisko zwrócił uwagę jeden z najwcześniejszych badaczy tureczczyzny, Francuz Vignier, którego zdanie nasz słynny rodatk orientalista, J. Sękowski w *Collectanea* ujął w te słowa: „Język turecki tak jest regularny we wszystkich swych częściach, tak foremny we wszystkich odmianach, iż zdaje się być dziełem nie mnogiego ludu, lecz mędrca, który go spokojnie i uważnie w swym pokoju układał“.

Leżąc już w parę wieków po przyjęciu Islamu przez Turków i zetknięciu się z kulturą perską zaczynają oddziaływać na piśmiennictwo tureckie wpływy wzorów perskich, a częściowo i arabskich. Wpływy te, ograniczające się narazie do tematyki utworów oraz frazeologii, w połowie XV w. (za datę przelomową można tu przyjąć zdobycie Konstantynopola przez Mehmeda II w r. 1453) sięgają coraz głębiej i pod koniec XVII stulecia opanowują całkowicie język turecki. Wyraży rdzennie tureckie uważane są za pospolite, niemal ordynarne (*kaba türkezce* — gruba tureczczyzna!), i zastąpione przez obce fonetyce i morfologii tureckiej zapożyczenia arabsko-perskie, proste i logicznie dotychczas układ zdania tureckiego zburzono na rzecz zawiłej składni makaronicznej. Język literacki został poprostu załany przez obcojęzyczne elementy, wyrazom tureckim zaś użyżono miejsca dosłownie w szarym końcu zdania, sprawdzając ich udział do minimum, jako niezbędnych czasowników posilkowych etc. W ten sposób stworzono język warstw oświeconych, t. zw. tureczczyznę „delikatną“ (*fasih* albo *ince türkezce*), rzeoży można śmiało: żargon dworski Osmanów.

Takie zachwaszczenie języka tureckiego uchodziło jednak doniedawna za rzecz pochwalną, bo przecież jeszcze Sękowski w r. 1824 pisał: „Bogactwo (jęz. tureckiego) są niewyczerpane, a może nawet najbogatszym ze znanych języków nazwanym być powinien; gdyż, oprócz własnych wyrazów, kaźde arabskie i perskie słowo bez braku do składu mowy należy. Styl turecki wyśmienicie do tego porównany być może, jakiego w Polsce w XV używano wieku, kiedy ojczyste wyrazy łacińskimi słowami i wyrażeniami przeplatano; z tą tylko różnicą, iż się u nas podobny styl zepuciem, gły przeciwnie u Osmanów wytwornością smaku nazywa; bo się tak nieodzownie oba zgodziły narody“.

*

Wiek XIX przynosi pod tym względem zasadnicze zmiany. Hasła nacjonalistyczne, rozbrzmiewające w tym czasie w Europie, odbiły się głośnie echem nad Bosforem. Prądy kulturalne, oddawna już nurtujące społeczeństwa państw europejskich, zaczynają powoli ogarniać także sfery oświeconej stolicy osmańskiej.

Pierwsze poważniejsze próby zreformowania Turcji, uczynienia pierwszego kroku ku zbliżeniu cywilizacji europejskiej do Turcji, przypadają na rządy sułtana Mahmuda II (1808 — 1839), mające wkrótce doprowadzić do okresu zasadniczych reform, znanych w historii pod nazwą „*tan-zimat*“. W naśladowaniu wzorów europejskich nie ograniczono się do reform w dziedzinie wojska, gdzie, po zniesieniu i zmasakrowaniu korpusu janczarów, stworzono nowoczesne oddziały wojskowe, lub w zakresie administracji, czy też skarbu. Wpływ europejski sięgnął znacznie głębiej, oddział na kształtowanie się kultury tureckiej, rozwój literatury i języka tureckiego a wreszcie rozwój oświaty. Dlatego słusznie za promotorów ruchu reformatorskiego w Turcji nowoczesnej należy uważać właśnie pisarzy i poetów: Ibrahima Szinasiego (1826—71) i Namyka Kemala (1840—1888).

Wyemigrowanie znacznych zastępów zdolniejszej nieraz młodzieży tureckiej, spo-

wodowane na polowie XIX i XX stulecia przez rządy reakcyjne Abdul Hamida II (1876 — 1909), oraz przeniesienie głównych ośrodków ruchu młodotureckiego do centrów emigracji w Paryżu i Genewie, zdecydowały ostatecznie o tem, że kultura europejska, kiedy już, po ogłoszeniu konstytucji w r. 1908, miała łatwy dostęp do wszystkich dziedzin życia tureckiego, przycięła się przedewszystkiem w swej formie francuskiej. Tak jak na kilka wieków przedtem z największym pietyzmem tłumaczono i przerabiano utwory perskie na język turecki, tak teraz znów z entuzjazmem dla kultury europejskiej zabrano się do przekładów i przeróbek dzieł klasycznych (niestety, nie tylko klasycznych!) francuskich, w założonych liceach studiowano przedewszystkiem język francuski.

Okres chwilowego umieszczenia szyłko minął pod wpływem rozwijających się wypadków politycznych. Wojna światowa, a potem układ w Sévres z r. 1920, stanowiący w gruncie rzeczy rozbiór Turcji, ostatecznie przekonał Turków o perfidji państw europejskich i zniechęcił ich do wielkich mocarstw, uosabiających „kulturę europejską“. Odtąd w swych najradzykalniejszych reformach będą naśladować zewnętrzne objawy cywilizacji europejskiej, bez większego przekonania dla rzekomo wyższej kultury europejskiej.

Wśród walk o wolność i niepodległość Turcji, wśród zmagani i rozczarowań w poszukiwaniu orientacji kulturalnej, do głosu dochodzi wreszcie czynnik narodowy. Sędziwy poeta turecki, Mehmed Emin może najpiękniej dał w swym wierszu wyraz dumie narodowej, płynącej z poczucia, że się jest Turkiem, nie Osmanem, która to nazwa stała się niemal obelgą, a właśnie Turkiem (uchodzącym dotychczas za synonim ghura!): „*Ben bir türküm, dinim, dżinsim uludur*“ — „Ja — jestem Turkiem, moja wiara i mój ród są wielkie“. Uświadomiono sobie wreszcie wspólną więź, jaka łączy pochodzenie i dzieje Turków — obywateli Państwa Tureckiego z Turkami, zamieszkującymi stepy nadwołżańskie czy Turkistan. Zabrano się gorliwie do studiowania zabytków literatury staroturckiej, środkowoazjatyckiej, podjęto badania nad językami i etnografią pokrewnych ludów i plemion tureckich. Ze względów politycznych przesadzano nieraz w tworzeniu koncepcji narodowych, doszukując się bliższych związków etnicznych i językowych Turków anatolijskich z autochtonami małozjatyckimi, Hetytami... Teorie te są sprawami raczej przemijającymi. Nieprzemijającą natomiast, oraz istotnie pozytywną i cenną zdobyczą, jaką nauka i kultura turecka zawdzięcza dziś prądom narodowym, są dwa zjawiska w Turcji współczesnej: zainteresowanie badaniami ludoznawczymi oraz reforma językowa.

Lud turecki, zamieszkały w Anatolii, a częściowo i w Rumelji, od wieków prawie nie brał udziału w kształtowaniu się kultury „osmańskiej“. Trwał w swej dawnej, prymitywnej kulturze tureckiej. Zwrócenie się do mas ludowych, podjęcie studiów terenowych nad gwarami i folklorem tureckim przynosi i przyniesie jeszcze wiele cennego materiału z zakresu językoznawstwa i etnografii tureckiej. Wyniki tych badań przyczyniają się też w znacznym stopniu do oczyszczania języka tureckiego od obcych naleciałości, na czym głównie polega reforma językowa, która zresztą, jako zagadnienie nasuwające dużo ciekawych refleksyj, nadawałoby się do osobnego omówienia.

Proces przemian kulturalnych w Turcji współczesnej nie jest skończony. Trudno też przewidzieć z całą pewnością, jakimi drogami dalej się potoczy. Przy dzisiejszym układzie stosunków spodziewać się możemy — czego z całego serca życzymy — dalszej konsolidacji wewnętrznej elementów narodowych rdzennie tureckich oraz przyswojenia kulturze tureckiej porzuconej niegdyś spuścizny duchowej przodków.

ANANIASZ ZAJĄCZKOWSKI

PICKWICK NIEŚMIERTELNY

Dnia 31 marca 1836 r. ukazał się nakładem firmy wydawniczej Chapman & Hall, Londyn — nieduży, półtoraarskusowy zeszyt w błado-zielonej okładce.

Strona tytułowa wyjaśniała, iż jest to pierwszy zeszyt *Pośmiertnych Zapisków Klubu Pickwicka*. Autor — Boz. Cztery plansze, zdobiące zeszyt — pióra znanego ilustratora Roberta Seymoura. Cena — jeden szyling. Nakład wynosił czterysta egzemplarzy.

Dnia 31 marca 1836 r. — ze stronic szylingowej książeczki w zielonej okładce — tęgi, starszy pan, o okrągłej twarzy i okrągłych okularach, wyruszył w otoczeniu swych wiernych satelitów w nigdy nie

kończącą się podróż po bezkresnych drogach świata. Mr. Samuel Pickwick, filozof, światły mąż, prezes dożywotni Klubu Pickwicka, autor uczonej rozprawy pod tytułem *Badania źródeł stawów hamstedzkich tudzież niektóre spostrzeżenia nad teorją glowców, dohodny, bezbrzęcznie naiwny, żyjący w bliskiej przyjaźni z kuflem portera, dobrotliwy obrońca uciśnionych, strażnik obyczajności...*

Karykatyra?

Drogą jakiej przemiany tenże Mr. Pickwick, który wędrowkę swą rozpoczął od groteskowej sceny bójki z dorożkarzem, który w jego skrupulatnem notowaniu danych o cudownym koniu dorożkarskim, co



to bywa w zaprzęgu dwa i trzy tygodnie, upatrzył zamiary szpiegowskie, — drogą jakiej przemiany został on w ostatnim rozdziale aniołem opiekuńczym całego otoczenia, mądrym dobroczyńcą, rycerzem i gentlemanem, który płaci dobrem za złe gestem tak wspaniałym?

W jaki sposób teren jego przygód przemiął się z zajazdu, — gdzie się upija do utraty przytomności, — do więzienia za długi, gdzie ratuje nieszczęśliwe rozbitki ludzkie od ostatecznego upadku? Jak i gdzie nauczył się jeździć powozem, nie wypadając zeń, i wchodzić w tłum, nie dostając dotkliwych szturchnięć? Nauczył się mówić nie jak clown, lecz jak gentleman, głupkowaną łatwowierność zamienił na biblijną prawie prostotę ducha, niedostępnego fałszowi?

Dlaczego dwudziesty i ostatni numer *Zapisków* — w półtora roku po ukazaniu się numeru pierwszego — pożegnał czcigodnego pana o szlachetnych i poważnych poglądach na świat i życie, przejętego ideą społeczną, świadomego swych obowiązków obywatela i człowieka?

Mr. Pickwicka? Tak. I Charlesa Dickensa.

W listopadzie 1835 r. panowie Chapman i Hall powzięli projekt utworzenia wydawnictwa eryjnego, tak taniego, by było dostępne dla najszerszych mas społeczeństwa, a tak popularnego, by ilość sprzedanych egzemplarzy przyniosła zysk, pomimo ich wyjątkowej taniości. Znany ilustrator, Robert Seymour, zaproponował dostarczenie serji obrazków, których treścią byłyby śmieszne przygody niefortunnych członków klubu sportowców. Tekstu do tych obrazków — ponieważ ilustracji słownej do opowieści w obrazach — miałyby dostarczyć którzyś z tych młodzieńców, wypełniających swemi nowelkami szpalty niedzielnych wydań wiekowych pism.

Wybór panów Chapmana i Halla padł na młodzieńca, nazwiskiem Dickens, reporter gazety *The Morning Chronicle*, piszącego również do *Evening Chronicle* — dodatku tegoż pisma — feljetyony pod pseudonimem „Boz”.

Wybór ten, poza powodzeniem, jakim cieszyły się te feljetyony, był umotywowany również tem, że Charles Dickens już uprzednio był zaangażowany przez firmę, jako współpracownik, do jej Biblioteki Powieściowej i dostarczył dla niej nowelę, która później została włączona do zbioru *Sketches* — pod tytułem *The Tuggs at Ramsgate*.

Młody autor postawił kilka warunków: by klub nie był klubem sportowców — uważał bowiem ten pomysł za oklepany i niezbyt szczęśliwy; by Mr. Seymour ilustrował jego, Dickensa, tekst, nie zaś odwrotnie, i wreszcie — by mu wypłacano honorarium za dwa numery zgóry, gdyż właśnie ma zamiar się ożenić i potrzebuje pieniędzy.

Wszystkim trzem życzeniom uczyniono zadość: Dickensowi wypłacono trzydzieści gwinei tytułem należności za dwa pierwsze miesięczne zeszyty i Mr. Pickwick, — którego ojcem chrzestnym był, mimowoli, zamożny właściciel remizy dyliżansów w Bath, noszący do dzwiceczne nazwisko, — Mr. Pickwick, którego Seymour widział jako niesposolicie chudego i wysokiego jegomościa, lecz który, na wniosek jednego z wydawców, Mr. Chapmana, został, — na wzór przyjaciela tegoż, Johna Forstera, — ubrany w wysokie czarne kamizaski i obcisłe jasne spodnie, niezbyt licujące z jego poważnym wiekiem i jeszcze poważniejszą tuszą, — Mr. Pickwick za dotknięciem czarodziejskiej dłoni Dickensa wkroczył do baśniowej, fantastycznej krainy przygód i rozpoczął swą Odyseję, nieśmiertelną podróż, która nigdy nie miała się skończyć.

Zażywny, postarzały Uliesses, na którego nie czekała żadna Penelopa (o ile nie

była nią przewrotna Mrs Bardell, która z kolei stała się ofiarą chytrych prawników Dodsona i Fogg'a); czujny obserwator, uważny badacz obyczajów, załytków i zajazdów rodzinnego kraju, odkrywca drogowego, wiekopomnego zabytku zamierzchlej przeszłości w postaci kamienia, zopatrzona w tajemniczy napis; króciutki, naiwny Don Kiszot, któremu towarzyszy zwinny i szczupły Sancho Panza wieku XIX — arogancki, wyszczekany, cyniczny i sprytny pucybut z tawerny „Pod Białym Jeleniem” — Sam Weller, dziecko ulicy londyńskiej, któremu czcigodny rodzic, doktorarz Tony Weller, dał staranne wychowanie. „Wychowałem go, jak się patrzy, p'sze Pana. Od najmłodszych lat pozwalałem mu uganiać się po ulicach i dawać sobie we wszystkim samemu radę. Najlepszy sposób na chłopca, by się wyrobił, p'sze szanownego pana!...” Trudno orzec, czy Mr. John Dickens był również zwoleńnikiem tej metody wychowawczej, gdy pozwolił, by zaledwie dziesięcioletni Charles, szczupły, delikatny i wrażliwy chłopiec, rozpoczął samodzielny a ciekawy żywot wśród ulic i zaułków Londynu. Prawdopodobnie, beztroski i lekkomyślny ten człowiek nie zastanawiał się zbytnio nad każdym życiowym krokiem, a raczej potulnie i biernie przyjmował wszystko, co przynosiło życie, — ale uważne oko znajdzie cię niewychwytnego podobieństwa w manierze, mowie i poglądach między Samuelem Wellerem, szczerwym młodzienaszkiem z londyńskich przedmieść a ambitnym młodym autorem, najlepszym stenografem wśród młodych sprawozdawców parlamentu, Charlesem Dickensem. Stosunek zaś ich obydwu do osoby Mr. Pickwicka jest identyczny.

Sam Weller, zmieniając posadę pucybuta na posadę służącego „światłego i znakomitego męża”, a wraz z nią pasiąstą kamizelkę i miękką kapelusz bez ronda na liberję z guzikami, noszącymi inicjały Klubu Pickwicka i podobiznę jego założyciela, uważał — wraz z Dickensem — iż wstępuje w służby bogatego, starego głupca, w służbę, która da mu możność przeżywania rozkosznych przygód w czasie beztroskich podróży i poznawania ciekawych okazów ludzkich w wędrownie od zajazdu do dworu i od sutej kolacji do wygodnego łózka.

Obaj — Dickens i Weller — zostali wprowadzeni w błąd.

Przez kogo? Mój Boże, poprostu przez tę nieuchwytną, niewytłumaczalną a potężną siłę, która się nazywa rozgłosem, sławą. Siła, której źródła nie zbada się nigdy dokładnie, której drogi są różne i liczne, która nakłada niespodzianie obowiązki, zmienia sytuacje, stosunki, warunki. Ot — poprostu piętnasty zeszyt *Pickwicka* miał nakład 50 tysięcy egzemplarzy — że zaś pierwszy, jak wspomnieliśmy, wynosił tylko czterysta egzemplarzy... W oknach wystawowych wielkich sklepów ukazały się materiały *à la Pickwick*; w rękach modnych dandyśów ujrzano spacerowe laski *à la Pickwick*, a w ustach — cygara tegoż imienia; chłopcy, biegnący do szkół, robotnicy, idący do pracy, elegancy państwo, starszankowie na łożu śmierci (jak z oburzeniem i humorem podaje Carlyle) żądali świeżego numeru *Pickwicka*, pragnęli widoku jego dobrodusznego i łaskawego uśmiechu, z jakim spoglądał z ilustracji *Ha-błota Browne*, zdobiących zeszyty, którego objętość wzrosła do dwu arkuszy. (Seymour, jak wiadomo, zrobił tylko siedem obrazków do dwóch pierwszych zeszytów, gdyż popelnił samobójstwo, zanim zdążył ukazać się zeszyt drugi). Publiczność czekała na aforyzmy Mr. Pickwicka, brała udział w przygodach i sprawach miłosnych jego towarzyszy, znała osobiście — i była z nimi w serdecznej przyjaźni — panów Weller — ojca i syna, przyjmowała udział w zabawach w Manor Farm w gronie rodzinnem Mr. Wardle Esq.

To obowiązuje jednak. Gdy dziesiątki tysięcy ludzi czekają niecierpliwie na każde słowo, które ma wyjść z ust bohatera, gdy każdy jego czyn jest witany oklaskami, gdy się jest autorem dotychczas nieznanym, chorobliwie ambitnym i wrażliwym na każde słowo krytyki, gdy się ma 24 lata, gdy się jest upojonym majestatem autorskiego „my”, przypominającym „my” królewskie, gdy się ma zachłanność wrażeń, żywotność i temperament autorski, któremu nikt jeszcze nie dorównał, gdy się nagle staje prawie apostołem ludu — tak, to obowiązuje!

Miesiąć upływa za miesiącem. „Boz” staje się Charlesem Dickensem. Reporterka została zarzucona. Wydawcy uznają za właściwe dziewięciokrotnie podwyższyć warunki, na których była zawarta umowa na *Pickwicka*. Zamówienia na coraz nowe książki napływają w większej ilości niż można wykonać.

Mr. Pickwick nabiera powagi. Uśmiecha się dobroliwie, lecz nie gapowato; apetyt mu służy nadal — pewien gargantualizm, rozkoszowanie się opisem uczt nigdy nie opuści Dickensa, aczkolwiek sam, szczególnie w latach późniejszych, jadł i pił z wielkim umiarem — ale po raz ostatni Mr. Pickwick

upił się w rozdziale 19-ym; coraz mniej słyszemy ironiczych uwag o jego gigantycznym umyśle, a coraz więcej poważnych wzmianek o wielkim sercu. Mr. Pickwick w więzieniu już potrąca struny, które zadźwięczą w 15 lat później w *Malej Dorrit*, Mr. Pickwick, łaskawy opiekun i przyjaciel wszystkich, w chwili, gdy zamieszkać ma w swoim nowonarobionym domu w Dulwich, już przemawia głosem idealnego opiekuna Estery Summerson, Mr. Jarndyce'a z *Bleak House*. Proszę porównać przemówienia jego w rozdziale I-ym do członków klubu i w rozdziale ostatnim, obwieszczające zebranym, że klub przestał istnieć.

„Mr. Pickwick zrobił uwagę... że sława jest droga sercu każdego człowieka... Chęć zjednienia sobie szacunku roku ludzkiego była zawsze jego bodźcem, filantropja — jego gwiazdą przewodnią (gwałtowne oznaki uznania). Czuł on niejaka dumę, wyznaje to otwarcie... gdy przedstawił uczonemu światu swoją teorię głowaczów. Teoria ta może być znakomitą, albo nie być nią. (Jeden głos: Jest nią! — Głosne oklaski). Autor jej został powołany do czynności wielkiej wagi, połączonej z pewnym niebezpieczeństwem dziś zwłaszcza, gdy nieład panuje na wielkich drogach, a woźnice są demoralizowani... Wszędzie wywracają się dyliżanse, konie unoszą, zagryzły wędzidla, statki idą na dno, kotły parowe pękają! (oklaski. Jeden głos: — Nie! Nie! (oklaski)... Kto krzyknął nie? (głosne oklaski). Byłaby to zbita z tropu miłośność własna człowieka... który zazdrościł pochwał, oddawanych... uczonym pracom mówcy... ucieka się dziś do potwarzy?...”

„Postanowiłem osiąść w okolicach Londynu w jakim zaciszu, pięknie i przyjemnem. Znalazłem dom, jakiego mi trzeba było... Sądzę, że będę mógł jeszcze spędzić jakie kilka lat w tem miłym ustroniu, ciesząc się na moje stare lata towarzyszeniem przyjaciół i pewny, iż po śmierci będę przez nich szczerze żalowany”. Tu Mr. Pickwick zatrzymał się. Emilia i Arabella lkały. „Pozukiwania i badania moje niejednemu mogą się wydać błahemi — mówił dalej filozof z powagą — ja jednak nigdy nie będę żałował, żem około dwóch lat poświęcił studjowaniu rozmaitych charakterów rodzaju ludzkiego... Jeżeli niewiele zrobiłem dobrego, to sądzę wszakże, że nie jeszcze mniej zrobił złego. To też przy schyłku życia tylko przyjemne wspomnienia mi pozostaną. A teraz, drodzy przyjaciele, niech was Bóg błogosławi!”

Wspomniałam o tem, iż stosunek Weller'a do jego pana podobny był do stosunku Dickensa do Pickwicka. Sam Weller, który każe sobie zamknąć w więzieniu za specjalnie w tym celu zaciągnięty od ojca dług pot, by się nie rozłączał ze swym ukochanym panem — cóż to byłoby za kapitalny powód do żartów i dowcipów dla Sama Weller'a, który rozmawiał z panem Perkerem, gdy ten ostatni próbował wyciągnąć od niego wiadomość o miejscu pobytu czarującej i plochej Racheli Wardle i niewiernego Alfreda Jingle'a! Ale, cóż robić — konjunktury i czasy się zmieniły i Sam Weller wraz z niemi.

LISTY BOLESŁAWA PRUSA DO ERAZMA PILTZA*

17.

Kochany Panie Erazmie! Rozumiem gorzki ton Pańskiego listu, który w tej chwili odebrałem; zrozumiesz Pan także i moją zimną krew, z jaką czytam Pańskie wymówki, gdy się dowiesz, że w tej chwili mam na „warsztacie” I. Dokończenie Placówki, która rozrosła mi się nad miarę. II. Drugą połowę „Sławy” dla Kur. Warsz., która miała być w N. noworocznym, a rozrosła się do 3000 lub 4000 wierszy!!! III. Poprawianie rękopisu i korekty z moich „szkieł” i t. d. Nie licząc kronik.

Bój się Pan Boga „Panie ładny” czy mogę w tej chwili myśleć nawet o korespondencji do Kraju? Naodwrót — po ukończeniu tych robót, z którymi już dojeżdżam do końca, zaczęć pisać dla Was. Będziecie mieli tego aż zanadto. Nowelle Ostoi bardzo chęć oćenić. Zostawcie mi więc je chyba, że Wam tak pilno, iż parę tygodni stanowią różnicę. Jedno zastrzegam, że byłby naodwrót Ostoja nie pisał o mnie, a przynajmniej nie do Kraju, ho by to wyglądało na kpiny. Więcej Panu powiem: chciałbym puścić się na kilka robót krytycznych, a między innymi na Świętochowskiego. Jeżeli ta myśl podoba się Panu, daj znać. I — cierpliwości, bo już i tak mało mnie dyjabli nie weźmą. Sciskam Was — Głowacki. 8. II. 886 r.

18.

Kochany Panie Erazmie! Nareszcie wysłałem Alberta! aż mi się w łbie kurzy. Dziś jednak uspokoiłem się, wypowiedziawszy co należy. Nie dziw się obszerności, ale przeczytaj z uwagą, a przekonasz się Pan, że sądu konkursowego nie mogłem zżyć byle czem, bohy się ich dyktatura nigdy w Warszawie nie skończyła. Wiele ich przyjaciół najsłodziej szczerze pobożnie przysyłając oczy, wyglądali jednak ażeby powiedziano

* Por. *Pion* nr. 16 (133) i 17 (134).

Panowie Tupman, Wardle, Trundle i Snodgrass nie zmienili się. Skrzydło uroczystej powagi trochę tylko musnęło Tony Weller'a, nie zdając zepsuć jego wspaniałego stylu; nie ma się żalu do Dickensa o godną, w ostatnim rozdziale, postawę dr. Winkle'a, który przez cały ciąg książki wiernie trwał przy dawno zapomnianych założeniach klubu, który niegdyś miał być sportowym klubem, — i pokornie ulegał przeróżnym niedogodnościom, wynikłym z nieumiejętności obchodzenia się ze wszelkim sprzętem sportowym, jakiego mógł dostarczyć wiek XIX.

Ostatni raz widzimy go jako dumnego małżonka Arabelli z domu Allen, która, nawiasem mówiąc, też zdążyła przedzierzgnąć się z czarnookiej kokietercyjnej trzpiotki, do złudzenia przypominającej Susan Nipper — służącą Florence Dembey, — w którąś ze słodkich, łagodnych i łatwo skłonnych do łez bohatererek późniejszych powieści — od Kate Nickleby do Florence Dombey i Lucy Manners.

Przemianę Mr. Winkle'a można Dickensowi ostatecznie darować, nie można natomiast darować przemiany Jingle'a i Hioba Trottera — nawet Dickensowi nie wolno zepsuć Jingle'a...

Przez cały świat, przez który wędruje Mr. Pickwick, wieje ostry wiatr epoki wiktoriańskiej. Przynosi on i ten zachwyt, w który wprawiał czytelnika niewybredny żart i tani efekt stłuczonych szklanek, lub widok Mr. Pickwicka, stratowanego przez odbywające manewry wojska. Przynosi radość pełnego kufla, obficie zastawionego smakolymi stół i płonącego w kominku ognia, przy którym śpiewa się stare piosenki, i widok załóżników, które niezmienne kończą się małżeństwem. Przynosi sentymentalne rozkłiwianie się nad losom ubogich, na który nie znajduje się innej rady, prócz doraznej, łaskawej pomocy filantropijnej. Przynosi naiwne, zabawne, celowe przemilczanie tysięcy rzeczy ważnych, codziennych, o których wiedzą wszyscy, lecz nikt pisać nie śmie...

Ale jakież to ma znaczenie — to wszystko? Po wspaniałych, szerokiej, zaczarowanych gościńcach wędruje pieszko, czy w powozie, prowadzonym przez Mr. Tony Weller'a, nieśmiertelny, dobrotliwy, zwycięski Pickwick. Nie zamieszka nigdzie. Nieprawdą jest, że się osiedlił w domu w Dulwich. Nieprawdą jest, iż Mary, pokojówka od burmistrzostwa Nupkins z Ipswich jest klucznicą w tym domu, małżonką Sama Weller'a i matką dwóch ładnych chłopczyków, którzy bawią się w ogrodzie przed domem! Czekają ona, uśmiechnięta, z różową kokardą w włosach, aż Mr. Weller przyjdzie pomóc jej trzepać dywany jej państwa i skradnie jej całusa. Mr. Pickwick, zostawiwszy swych przyjaciół na odpoczynku w pobliskim mieście, nieustraszenie wraz ze swym sługą tropi zdrację Jingle'a aż do utraty tchu. Mr. Pickwick, który nigdy nie był młody, zawsze nosił obcisłe białe spodnie i okrągłe okulary, który nigdy się nie zestarzeje, ani umrze, ani spocznie w wędrownie po księżycowych drogach ludzkiej wyobraźni.

XENIA ŻYTOMIRSKA

coś podobnego. Obejmuje to przeszło 1300 wierszy. Jeżeli zgodzisz się Pan to strącić $\frac{1}{3}$ na dług, a 80—90 rubli wyslijcie telegrafem bo nie mógłbym jechać. Od 15 lipca (mniej więcej) będę w Puławach; tam przyslijcie Kraj i broszurę Zamojskiego. Stamtąd też napiszcie o Ostoi, znowu proszę o strącenie..... Przypomniłem Puławy. Na serio warto tam zjechać..... Głowacki, 6. VII. 886 r.

19.

Kochany Panie Erazmie!..... Co się w Kraju wyrabia? Po dyjabła umyśliście ręce od mojej korespondencji, drukując tak niejasny artykuł wstępny, mojem zdaniem ostrzejszy od tego co ja pisałem? Czy macie jakie przykrości? To, com napisał (nie chwalcę się), nie jest takie głupie: przecież wyraźnie oddzieliłem sprawę ucisku żydów od dyktatorskich a śmiesznie sformułowanych zachcianek kilku osób z Kom. Gicld., że ich to mogło uboleć nie dziwić się; kto wie jednak, czyście nie zawczasie wyparli się z tem solidarności. Ale to drobiaż. Czy drukujecie „Alberta” czy nie i z jakiego powodu? Tu mówię bowiem, że „Albert” nie będzie drukowany w Kraju. Rozumie się, narażać pisma nie chcą, jeżeli masz Pan choćby cienią niepokój z tej strony, odeszlij mi rękopis do Puław..... Sciskam Pana serdecznie — Wasz Głowacki. 22. VII. (86 r.). P. S. O mało nie wyjechałem do Paryża, namawiany przez Abahanowca. Zamało jednak miałem sil na te wycieczki.

20.

Wierny Przyjacielu! Wcale nie ucieszyłem się z tego, iż red. Kraju jednomyślnie oświadczyła się przeciw memu artykułowi o Albercie. (Czyżbym już zaczynał głupieć?) Ponieważ jednak nie mam patentu na nieomyślność, wykreslaście więc co wam się podoba, ale zachowajcie i zwróćcie

mi pokreślony rękopis, ażeby mógł się zoryjentować: w czem leży zło. Przynajmniej zresztą, że mogłem napisać za dużo; cała bowiem ta sprawa moeno mnie rozkołysała. Co do „memoryjału” niewątpię, że Niwa dała się wziąć „na muchę”; nie mniej jednak z mego artykułu niebył wyrzucił „Memoryjał” ów jest dla mnie objawem gieldziarskiej dyktatury, n. b. głupio wypowiadającej swoje najwyższe poglądy. Panowie ci piszą podobny dokument w sprawie nie gieldzowej, ale społecznej, mogli a nawet mieli obowiązek obgadać sprawę z żywiołem „niejścowskim”, nie wyłączając — anty-semityzm. Frazesy o obronie, o wybiegach adwokaekich, ktorými zastaniają się, nie tu nie znaczą; boć są przeciw sprawie, w ktorých nawet adwokaci muszą wybiegów unikać i stawiać rzecz na gruncie faktycznym. O broszurze Zamoyskiego wkrótce napiszę, potem o Ostoi. Ścisam Was, Kochany Panie „glancu” i polecam Waszemu sercu Albercika. Bywaj Pan zdrów. Wasz Głowacki. 31. VII. (86). N. B. Nie odpisywałem hom był w Nałęczowie. Verte! N. B. II. Jeżeli Albert jest bardzo kiepski, to go lepiej wcale nie drukujcie, nie chęć się bowiem dla głupstwa kompromitować, a „kliki” warszawską przy innej okazji urządzić.

21.

Kochany Panie Erazmie! Z każdym rokiem życia przekonywałem się, że pokora nie należy do cnót użytecznych. Mam tego świeży dowód na kwestyi recenzji „Albercia”, w której wasza redakcyjna, moja pokora literacka wywyższała — do osmięszenia mnie, a zapewne i siebie. Ciąg, który czytałem, jest wprost niemożliwy logicznie: nikt bowiem nie robi indukcji bez faktów, Kraj zaś zacytował uogólnienia bez cyt! Wyrzuciło się z tego tak potworne głupstwo, że solidaryzować się z nim nie mogę i nie chcę. P. S. Przed godziną miałem długą rozmowę z G. gwałtownie nakłaniając go, ażeby jechał do Petersburga. Tylko na miłość Bożą: każe mu robić jak największe, byle jak najrządziej poprawiał cudze rzeczy. Inaczej zabijecie niepopolity talent. Gdy mnie więc strony interesowane zaczęły, oświadczyć, że za artykuł nie odpowiadają. Nie wątpię, że Kraj posiada ludzi rozsądnie myślących i stylistów; po tej jednak próbie, pozwól sobie nie uznawać ich kompetencji wobec moich robót, które są organicznymi całościami, nie zaś tandetą pisaną na wiersze. Oświadczałem też, że od tej pory na żadne zmiany w moich rękopisach nie zgodzę się. Będą drukowane tak, jak były napisane, albo nie będą drukowane. Jeżeli Pan łaskaw, wyslijcie mi następną N. Kraju do Nałęczowa, ażeby mi się i na świeżem powietrzu mógł nasycać pięknościami hękartą urodzonego z moich myśli i cudzych teorii krytycznych. Jeżeli krytyka literacka ma zejść na takie psy, to lepiej wogóle zarzucić ją. Wybacz Pan może trochę cierpkie zdania; robię je jednak i dla dobra „Kraju”. Zródelłem bowiem upadku prasy warszawskiej jest fakt, że redakcyjne, zamiast przyjmować lub odrzucać artykuły, hawiają się w ich poprawianiu. Proceder ten nie tylko zabija wszelką samodzielność autorską, ale jeszcze maci w głowach i psuje smak publiczny. Ścisam Pana serdecznie — Wasz Głowacki. 14. IX. 886 r.

22.

Kochany Panie Erazmie! Piszę jeszcze z Nałęczowa, gdzie właśnie dzisiaj odebrałem drugi list Pański; pierwszy zastał mnie tu przed dwoma tygodniami. Ze swej strony bardzo logicznie zapytujęz mnie Pan: co słychać o broszurze Zamoyskiego, Ostoi i Potopie? Na co ja niemniej logicznie odpowiadam z mojej strony: nic nie słychać i nic nie będzie słychać. W sprawie tej bądź Pan łaskaw oddzielić nasze stosunki osobiste, od moich stosunków z redakcją Kraju. Otóż, o ile pierwsze zachowały się bez zmian, o tyle o drugich powiedzieć nie mogę. Szczerze powiadam: chryja z Albertem (bodaj go byli dyabli wzięli wraz z sądem konkursowym!), nie tylko zniechęciła mnie do pisania artykułów krytycznych, ale wprost uniemożliwiła drukowanie ich w Kraju. Pominąwszy cytaty, bez ktorých artykuł stracił mięso i kości, wyrzuciliście jeszcze całe bardzo ważne ustępy; oba te zaś braki, w połączeniu ze zdumiewającym dopiskiem: o miłości dla cesarstwa Niemieckiego w Niemczech krakowskich i niesłychanie niedbałą korektą, poprostu skompromitowały mnie jako pisarza. Wyjaśnienie zaś od redakcyi mnie nie pomogło i pismu zaszkodziło. Z wielkim trudem i po wielu awanturach doszedłem w Kurjerze do tego, że mi już przestali poprawiać moją robotę. Kraj mi to zapisał i znowu otworzył furtkę Kurjerowi do przypisków i melioracyi i dziś żąda, abym mu w dalszym ciągu pisał krytyki, czyli uznał fakt dokonany i narażał się na podejrzenie, że inne moje artykuły również są modyfikowane. Dziękuję za podobną zabawę. Współczesnie z tym listem odsyłam Zamoyskiego broszurę, o której pisać nie będę, jak również o nowellach Ostoi i o Potopie. Natomiast nie zarzekam się zamiaru dania Krajowi powiastki. Ścisam Was serdecznie — Wasz Głowacki. Nałęczów, 1. X. 886 r.

23.

Kochany Panie Erazmie! Co do drukowania w osobnej broszurze mego artykułu — daje Pan spokój. Ani myślę ze swej strony odgrzewać tej sprawy, choćby dlatego, że inni mnie wyręczą. Nie chciałbym o tem dłuższej mówić, choć dalibóg trudno, szczególnież dziś, wobec tryumfu kliki. Raz zdarzyła się okazja zważyć ją w łeb i otóż Kraj odbił cios i przeciw mnie go zwrócił. Rozumiem, że dla mieszczających zdaloku od tego gniazda, sprawa „Albercia” była tylko literacką i mało ważną. Fatalnie jednak omyliliście się i bodaj czy na własnym karku nie odkupujecie za ten błąd. Przecież to ta sama partya, która was wszystkich uważała za zdradców; można było wskazać wartość jej systemu i przeciw niej postawić inną partyję, ale mieliście inne poglądy i wszystko dyjabli wzięli. N. B. Na moim rękopisie zauważyłem notatkę piórem, która dowodzi, że jej autor albo czytał po polsku nie umie, albo czytał przez sen. Znać przy tem dwa ołówki, a w wykreśleniach, a raczej w wyborze wykreślonych ustępów, widać intencyję i to wy-

rażną, osłabienia artykułu. Przynaj Pan, że to są bardzo przykre rzeczy. No, ale mniejsza o to. Jestem wciąż tak zirytowany, że chciałbym już nie słyszeć o konkursie, jego autorach i sędziach. Ścisam Pana serdecznie. Wasz Głowacki. 7. X. 886 r. Warszawa.

24.

Kochany Panie Erazmie! Jestem tak zaabsorbowany nową powiastką, którą od Nowego Roku piszę dla Kurjera, że do tej pory nie odpowiedziałem na ostatni list Pański, za co bardzo przepraszam. W tej chwili o „Potopie” ani o żadnej innej robocie myśleć nie mogę. Gdy bowiem skończę ową nieszcęliwą „Sławę”, wezmę się zaraz do innej powieści, a potem do jeszcze innej i tak wciąż. Nie zapominaj Pan bowiem, że i dla Kraju muszę napisać powiastkę. Na rozbiór więc „Potopu” przemennie nie macie co czekać, niech napisze kto inny. Należałoby mi raczej wydostać Ostoję, którą tutaj, jak zwykle, dość bagatelizuję. Przyjęła krytyka. Ścisam Pana serdecznie. Wasz Głowacki. 26. X. 886 r. Warszawa.

25.

Kochany Panie Erazmie! Domysłując się, że Pan jako redaktor i wydawca masz dla mnie krzywe i żbate serce — milczałem. Zem nie dał nic na Nowy Rok, nie moja wina, ale fatalności: dziś bowiem tak namiętne oddają się „samokrytyce”, że cokolwiek zacznę pisać, nie mi się nie podobna i rzucam. Zapewne i ten atak kiedyś przejdzie, a wówczas zaleję Kraj i innych upławami mojej muzy. W nawiasie byłbym Panu wdzięczny za jakiś oryginalny ale b. oryginalny temat, nad którym bym jeszcze nie rozmyślał, a wówczas i Kraj miałby przedę nowellę. Co do Omyłki — a drukuj ją Pan jak najprędzej. Klaniaj się Pan też Kass. i prosz o puszeczenie powrotu wojska do miasta. Czy nie masz Pan pod ręką odbitki z Kurjera Lwowskiego? Gdyby Kass. zobaczył rzecz w druku mniełby go rzecz przestraszała. W Warszawie coraz głupiej i zdaje się, że Gazeta Świąt. przestanie wychodzić; już trzy numery zatrzymano. W życiu towarzyskiem także głupio. Wyglądamy jak robaki w serze szwajcarskim, n. b. robaki chude, które swoją drogą straciły węch. Gnijemy w oczach, ale tych roślin, które mają zejść na naszym nawozie, jeszcze nie widać. Tymczasem bywaj Pan zdrów „Panie ładny” i napisz czasem do przyjaciela swego i slugi. — Głowacki. 8. II. 887 r.

26.

(List ten dotyczy poparcia przez Prusa młodego inżyniera, p. Tadeusza Balińskiego, wyjeżdżającego do Petersburga). 5. II. 887 r.

27.

(Zawiera podziękowanie Prusa za otrzymane 50 rs. od redakcyi Kraju, pochodzi z lipca 1887 r.)

28.

Kochany Panie Erazmie! Tu jest krzyk na Kraj i na Pana. Dobrze będzie jeśli wsłuchacie się w zarzuty i wprowadzić pewne modyfikacje; pismo bowiem nie może narażać się wszystkim. Ale mniejsza. Czas wszystko łagodzi, a i Pan zapewne zrobisz co potrzeba, ażeby przynajmniej uniknąć zbyt ostрых i bezcelowych polemik, jak tu, o której rozmawialiśmy. A teraz projekt. Chęć napisać szereg artykułów, ktorých treścią będzie sformułowanie programu, dewizy:

„SPORT W SZTUCE”

Wzbudzić zainteresowanie sztuką, ktorą bodaj w części odpowiadało ciekawości, jaka istnieje w masach dla sportu, oto ideał, o którym naprozdno, jak dotąd, marzy społecznie nastrojony artysta.

Czy krokiem napród na tej drodze jest podjęcie przez sztukę tego „fascynującego” tematu, odpowie na to pytanie wystawa zorganizowana przez I. P. S. przy współpracy Polskiego Komitetu Olimpijskiego, przygotowującego udział Polscy w XI Igrzyskach Olimpijskich mających się odbyć w Berlinie.



ZYGMUNT GRABOWSKI

Polo

„przez lud do narodu”. Kiedyś rozmawiałem o tem z Bar. i był zachwycony. Nazwał to „jedynym konsekwentnym programem jaki myszał”. Pomijam ten komplement, sądzę jednak, że rzecz może być nie zła. Czy drukowałbyś to Pan w Kraju? Ścisam Pana, Pani rączki całuję. Spasowiczowi i Kassowiczowi ukłony — Wasz Głowacki. 1. I. 889 r.

29.

Szanowny Panie Erazmie! Oto odpowiedź na Wasz łaskawy list. Jak tylko skończę robotę z odbytem, co już rychło nastąpi, wezmę się do nowelli dla Was i do notatek felietonowych. Tymczasem posyłam Szkic p. Szebeka, wykreślony przez cenurę w K. C. Dopiero po wykreśleniu spostrzegłem, że jeden wiersz z początku należało zmienić i całość przeszła. Robię to na własną odpowiedzialność i wiersz ów zmieniam. Wkrótce dostaniecie rzecz o nowej sztuce Ibsena, po której łatwiej poznać naturę tej zdolności, według mnie niezwykle silnej. Ścisam Was — Wasz Al. Głowacki, Warszawa 4. I. 889 r.

P. S. Przyjeżdżajcie Pan jak najrychlej do K. C. bo jest bieda!

30.

(List ten zawiera informacje o pracach panny Szebeka, o artykule jej o Ibsenie i inne (przyp. wyd.) Huk z powodu „toastu” już słabnie. Zgóry rozgrzeszałem Pana za treść, choć wyznaję, że owe „w imieniu 12 milionów” wyduło mi się dziwnie niecisłe. Cieszę się, że tego nie było, choć z drugiej strony p. Komarow (na mocy tego co czytałem w „Świetle”), wygląda mi nieciekawie. Cudze zaostrzył, od siebie nie powiedział! Podejrzana bezstronność. Na rany boskie przyjeżdżaj Pan i niech się raz coś zacznie w tym K. C. Ścisam Was, Pani rączki całuję. Kassowiczowi jeżeli go Pan spotkasz serdeczne pozdrowienia. Nie możemy go tu zapominieć. Wasz Al. Głowacki. 7. II. 889 r. Warszawa.

puśczałna — bo bierze w niej udział zbyt wielu uczestników; a sportowiec zaś pamięta i umie dobrze liczyć, że za mało graczy wówczas pozostawałoby na placu, który nie przedstawiony w całości, żywo jednak istnieje w jego świadomości.

Zarzuty te, nieistotne z punktu widzenia sztuki, łatwo możnaby zbagatelizować, gdyby nie fakt, że jury klasyfikujące dzieła do wysłania na wystawę Igrzysk Olimpijskich w Berlinie o nich nie zapomni, a podobno, licząc się ze zwycięzem nastawieniem Olimpijczyków międzynarodowych, zapomnieć nie może. I wtedy sprawa, z pozoru blaha, staje się poważna, wchodzi tu bowiem w grę daremna praca wielu artystów, oraz gorzyc, nie pozbawiona słuszności, zawiedzionych nadziei osobistych i, co najważniejsze, szkoda dla sztuki polskiej, której udział w pokazie międzynarodowym niesłusznie zostałby zredukowany do małych rozmiarów.

Pozornie śmieszna rada skierowana pod adresem artystów o „przeszkoleniu ich sportowem” zawiera w sobie coś z prawdy. Szkoda, że nie pomyślano zawczasu o zorganizowaniu możliwości osiągnięcia przez artystów fachowo sportowych wyjaśnień, dzięki ktorým łatwo zdołanołby uniknąć „kryminalnych uchybień”; szkoda również, że artyści ze swej strony nie pomyśleli o tem, by częściej odwiedzać tereny sportowe, aby wyostrzyć obserwację swą odnośnie do tego zjawiska, nadać mu i w plastyce żywiołowość, którą posiada w rzeczywistości. Krytyka artystyczna nieoczekiwanie znalazła, obok stanowisk różnych z krytyką sportową, jedno wspólne: oto została zakwestjonowana wiarogodność i wartość obrazu malowanego na zasadzie zdjęcia fotograficznego. Momentualność i przypadkowość chwytu obiektu odbija sytuacje nieomal że nieprawdopodobne, a w każdym bądź razie odbiegające od syntezy sportu, którą właśnie realizować ma dzieło sztuki.

Przemawiają natomiast do sportowców obrazy sugerujące pewien nastrój kojarzący się dla nich z przeżyciami sportowem, a które, dzięki małemu naciskowi polowemu na człowieka, nie budzą czujności fachowca, wrażliwego na nieodpowiednią postawę, czy ten lub inny fałszywy ruch zawodnika.

Wystawa bieżąca, oglądana w świetle już czysto artystycznych zagadnień, przedstawia interesującą różnorodną reakcję artystów na określoną dla wszystkich podniętę: zjawisko sportu.

Wypowiedzi ma ten sam, choć o bardzo szerokim zakresie „zadany temat” są oczywiście bardzo odrębne. Najciekawszy jest moment stopnia zaabsorbowania artysty tematem: rzeczywistego lub powierzchniowego przeżycia tematu, oraz przejścia świadomego lub nieświadomego mimo niego.

Trening o zmroku, Powrót Rafała Malczewskiego — to poprostu jego ulubione krajobrazy okolic podgórskich; narciarze, czy hokeiści stanowią tylko jakby z konieczności wprowadzony sztafaż — aby obraz był „na temat” (podobnie Arct, Pietkiewiczowa). Posłuszny tematowi Czyżewski daje bokserów, ktorzy kształtami, finecją faktury przypominają — Hiszpanki tego artysty, tworząc nie wiem czy zamierzona, czy mimowolną groteskę na temat boksu. Kubicki swym botticello wskim pannom każe odbywać zawody pływackie, hawić się piłką, ale zarazem myśleć o sztucznych wykwincie pozy; cyklistów zaś układa w barwną wstęgę, wijącą się wśród „kwiatkowej faktury” — lecz wszystkiemu temu brak nerwu życia. Przykrzym kompromisem z tematem, najwidoczniej zupełnie nie odpowiadającym talentowi artysty, jest *Finish* Borowskiego; statyka rytmizowanych postaci zaamienniona na dynamizm skoku dała rezultat raczej niepomyślny.



JÓZEF KLUKOWSKI

Piłka nożna

Łamią się napróżno z trudnościami wydobycia koniecznej treści artyści, budujący swe obrazy na zasadach neopreimpresjonizmu, w plamkach kolorowych gubią niestety formy człowieka, głównego w tym temacie aktora; wyraźnie nie robi sobie z tematu Zielenkiewicz, rozbijając formy na dekoracyjne plamy w *Koszykowie*. Bylina porusza się swobodnie i z dobrym wynikiem w zakresie sportu konnego, co zresztą nie jest dla nas niespodzianką; stanowią ją natomiast i to w sensie wyraźnie dodatnim prace Ożmina. Prace zwłaszcza olejne tego artysty (*Zapasy*, *Rzut kulą*) wykazują bardzo dobre podporządkowanie indywidualnych możliwości artystycznych tematowi. Przejęcie się tematem przebiega również z pracy Łukiewiczowej *Football*, która wprowadza rozmaitość dobrze zaobserwowanych pól piłkarzy, podporządkowaną ogólnemu rytmowi ruchu. Wyjątkowo piękny jest obraz Zygmunta Grabowskiego: śmiała, romantyczna, pełna malarskich wartości wizja dwu jeźdźców na wspaniałych rumakach w pędzie podbijających piłkę polo. Specjalną adaptację tematu sportowego do potrzeb dekoracji wnętrza z nim związanych stanowią kompozycje temperowe prof. Kowarskiego.

Obraz Klukowskiego żywy, kolorystycznie i kompozycyjnie interesujący, wykazuje jak nienaturalistyczną formą, a nawet celową deformacją wyrazić można przekonywująco moment sportowy, jak dynamizm ruchu można przedstawić z zachowaniem pewnego spokoju. Zagadnienia faktury, ciekawe w tym obrazie, przerzuca Klukowski i w dziedzinie rzeźby, dając płaskorzeźbę archaizującą, kutą w kamieniu, (*Pilka*). Obok tej pracy wyróżniającej się w dziale rzeźb — należy jeszcze wymienić: Masiaka, Popławskiego, Karnego, Wojtowicza, plakiety Dąbrowskiej, piękny puchar brązowy Pietkiewicza.

Z pośród grafików stanęło do „apelu sportowego” wielu z dobrze nam znanych o wyrobionej już marce artystycznej. Wobec tematu narzuconego, tak jak i malarze, stanęli oni bądź bezradni, starając się od niego uciec lub też zabrac się z zapalem do jego opanowania, ale bez większego powodzenia.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA

I D E E

ALEKSANDER HERTZ: *Główne kierunki społeczno-polityczne a ruch oświatowy*. Warszawa 1935. Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny.

Opracowanie zarysu doktryn politycznych stanowi zadanie trudne i niewdzięczne. Na treść bowiem tych ideologii składają się nietylko zdania teoretyczne, ale też oceny emocjonalne, normy, postulaty. Trudno zatem w formie naukowej, więc — sensownej, przedstawić to, co w znacznej mierze klęci się z sensownością. Pomijając bowiem wspomnianą już zawartość asensowną ideologii, trudno nie zauważyć sporej porcji nonsensów, jako części integralnej doktryn politycznych. Zadanie jest jednak nietylko żmudne, ale i niewdzięczne, gdyż ludzie o różnych przekonaniach politycznych zwykli z tego punktu widzenia — a nie naukowego — oceniać charakterystyki poszczególnych doktryn.

Nie zraża to jednak dra Aleksandra Hertza, autora *Klasyków socjologii*, który wyspecjalizował się w umiejętności krótkich, ale ujmujących najbardziej istotne zagadnienia, charakterystyk doktryn politycznych i społecznych. Także ostatnia praca dra Hertza odznacza się zarówno solidnością opracowania, jak i przejrzystością wykładu. Książka, wymieniona w nagłówku, ukazała się jako pierwszy zeszyt „Kursu dla pracowników oświatowych”, urządnego przez Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny w Warszawie. To przeznaczenie pracy wyznaczało sposób ujęcia. Idzie w niej nietylko o dociekania teoretyczne nad ideologiami politycznymi, ile o zwarte przedstawienie ich najważniejszych elementów.

Praca dra Hertza wyróżnia się z powodów bezkrytycznych „studjów” — znacznym uświadomieniem metodologicznym. Autor zdaje sobie sprawę z zasadzek przedmiotu opracowywanego: „Zwracaliśmy się głównie do pewnych postaw moralnych i emocjonalnych, rozważając te tezy, które są używane jako racjonalne odpowiadające czy derywacje owych postaw (...opisując nacjonalizm)”.

Poszczególne rozdziały książki zajmują się kolejno ideologią liberalizmu, nacjonalizmu, faszyzmu, marksowską, demokratyczną — w zestawieniu z wpływem na ruch oświatowy. Autor musiał tu przedewszystkiem rozstrzygnąć zagadnienie: jak ustalić źródło danej ideologii? Dr Hertz powiada, że uwzględnił w swej pracy „wyłącznie... przekonania, które wyznawane są przez tych czy innych ludzi i które znajdują swe odbicie w doświadczeniach ruchu oświatowego”.

Jeśli idzie o faszyzm, to — zdaniem autora — „bogata literatura faszyzowska i o faszyzmie umożliwia odnalezienie we wszystkich jego systemach i kierunkach pewnych wspólnych momentów, stanowiących trzonowy element doktryny” (podkr. moje). Budzą się tu pewne zastrzeżenia. Nie zawsze wszak wspólne momenty różnych systemów i kierunków stanowią „trzonowy element doktryny”. Wprost przeciwnie — najwięcej jest sporów i rozbieżności w sprawach najbardziej podstawowych. Trudno też ustalać ideologię np. faszyzmu na podstawie prac jego przeciwników. Nie zawsze miarodajne muszą być enuncjacje zwolenników, — zwłaszcza programowe. Co innego literatura, powiedzmy, „odczytująca”, która przedstawia zręby teoretyczne czy ideologiczne pewnych zmian ustrojowych. A więc np. kiedy „odczytuje” założenia ideologiczne ze zmienionego ustroju szkolnego. Ten rodzaj jest znamieny szczególnie dla faszyzmu. *Primum vivere, deinde philosophari* — mogły Mussolini powołać się w jeszcze jednym punkcie na tradycję rzymską. Te natomiast prace, które nie „znajdują odbicia w doświadczeniach ruchu oświatowego”, musi się w myśl założenia dra Hertza wyeliminować. Powstaje wreszcie pytanie, czy „przekonania... tych czy innych ludzi”, które wpłynęły na praktykę oświatową, znajdują refleks w referacie autora, mimo że nie znalazły swego wyrazu w literaturze. Należy przyjąć, że — nie, gdyż możnaby je „odczytać” jedynie z rzeczywistości, a dr Hertz wyraźnie zastrzega, że nie zajmuje się analizą „określanych form ustrojowo-bytowych, w których wyrażają się ideologie”. Niemożliwy zaś jest inny sposób poznania, gdy idee, nie reprezentowane w literaturze, stanowią wraz z „formami ustrojowo-bytowymi” spłot nierozdzielny.

Niezupełnie zasadne wydaje się ryczałtowe traktowanie rzeczy tak różnych, jak mussolinizm i hitleryzm, pod wspólnym nagłówkiem: „ideologia faszyzmu” (rozdział IV). Mimo pewne zewnętrzne podobieństwa i analogje, różnice zarówno w treści, jak i metodach są tak wybitne, że niepodobna ich lekceważyć. Autor nie docenia pewnych zdobyczy teoretycznych faszyzmu, wynikłych z jego trzeźwej, wyzbytej fikcyj i przesądów, postawy. Świadczy o tem bodaj ten ustęp: „Cały szereg autorów faszyzowskich uzasadnia nierówność natury ludzkiej. Nierówność tę pojmują się bądź jako nierówność psychiczną i moralną, bądź też jako biologiczną, a zarazem psychiczną i moralną. Stanowisko drugie jest typowe dla faszyzmu niemieckiego z jego teorią ras... Autor niedość wyraźnie wypuklił różnicę obu poglądów. Fakt zróżnicowania ludzi — mowa tu jednak tylko o nierówności, niejednakowości, a nie niższości i wyższości — nie podlega najmniejszej wątpliwości. By to stwierdzić, nie trzeba nawet „autorów faszyzowskich”, — wystarczy najwykłęjsza obserwacja. (Copravda — mrzonki elokwentnego Jana Jakóba Rousseau długo maciły ludziom w głowie). „Teorji” zaś ras brak jakiegokolwiek uzasadnienia; jest ona wyraźnie sprzeczna z wynikami nauki, w szczególności antropologii. Pogląd o niejednakowości ludzi (pod względem fizycznym, psychicznym i t. d.) nie ma zatem nic wspólnego z hitlerowską „teorią” ras, która jest wypaczeniem, karykaturą myśli ocywistej — o istnieniu elit. Przykład powyższy nie jest odosobniony, jeśli idzie o różnice zasadnicze i istotne między faszyzmem włoskim a hitleryzmem. Nie można tu jednak — z braku miejsca — głębiej w tę rzecz wchodzić.

Jeśli idzie o ruch oświatowy, to uderzające są zbieżności praktyki faszyzowskiej i sowieckiej. A więc analogiczne organizacje młodzieży, korzystanie z radia dla celów propagandy, masowe rozpowszechnianie „politgramoty” i t. d. Biorąc też pod uwagę te „partje” ideologii, które odzwierciedlają się w rzeczywistości, a pomijając dowolności doktrynerstwa, niepodobna nie zauważyć momentów stycznych, i to wcale nie drugorzędnych. Dla praktyki bardziej charakterystyczne są metody, niż nieraz bardzo — z założenia — odległe cele. Dla mussolinizmu i leninizmu znamieną jest nietylko wyrosła z wspólnej podstawy (syndykalizmu) krytyka demokracji parlamentarnej. Dr Hertz uważa wprawdzie, że faszyzm „jest to swego rodzaju socjalizm państwowy, oczywiście zupełnie różny od socjalizmu marksowskiego...” (str. 37), i podkreśla jako charakterystyczną dla faszyzmu wiarę, że „zdołacie nieograniczonej władzy politycznej jest wystarczającym warunkiem dla gruntownej przebudowy całego życia zbiorowego” (43). Według Lenina — referuje jednak autor niemał w tych samych słowach — „zdoławszy władzę, proletarij sprawuje ją dyktatorską i dokonuje szeregu przeobrażeń, przyspieszających proces dojrzewania” (gospodarki) (str. 57, por. 56). Poruszając tę kwestję tylko okolicznościowo, wskazać jeszcze na podkreślenie przez oba kierunki roli czynników gospodarczych w calokształcie życia społecznego. Tak poza różnicami terminologicznymi, poza złudą hasel — kryje się kruszc podobnej pod wieloma względami rzeczywistości.

Niezupełnie zasadna wydaje się też filiacja, wskazująca przez autora: „solidaryzm społeczny jest prostą konsekwencją, płynącą z doktryny nacjonalistycznej”. Teza ta jest sprzeczna z hasłami nacjonalistów państw wielonarodowych. Nacjonalizm występuje tu z reguły w postaci budzenia antagonizmów narodowościowych, staje więc w sprzeczności z solidaryzmem, który — zgodnie z racją stanu — odnosi się do całej społeczności.

Te i inne jeszcze punkty sporne nie powinny jednak przesłonić ogólnego obrazu — poważnej pozycji, jaką reprezentuje praca dra Hertza. Autor pragnie, by na jej podstawie można sobie było wyrobić własny pogląd w tych kwestjach, i zwraca się do czytelnika krytycznego. Zapewne, to zadanie książka może spełnić. Mam zastrzeżenia tylko co do zbyt optymistycznego „demokratycznego” założenia, że każdy z uczestników „Kursu dla pracowników oświatowych” ma dość krytycyzmu i umiejętności postulowanej przez autora „samodzielną pracę myślową”. Tem bardziej, że trudności przedmiotu są — jak wskazywałem — niemałe, nawet dla specjalistów.

AL. S.

T E A T R



Mieczysława Ćwiklińska

TEATR NARODOWY: Jubileusz trzydziestolecia pracy scenicznej MIECZYSLAWY ĆWIKLIŃSKIEJ — *Spadkobierca*, komedia w 3 aktach ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO, reżyserja Stanisława Stanisławskiego, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Widz, który z szacunku dla teatru wymaga od niego poczucia społecznej i artystycznej odpowiedzialności, znalazł się w bardzo kłopotliwej sytuacji na tem uroczystym przedstawieniu. Przyszedł, aby za humor, subtelnością, naturalność gry wywdziżyć się Ćwiklińskiej bodaj oklaskami. Nie jest to najgorszy sposób oceny w tej dziedzinie sztuki, gdzie słowo odrzuca wyrodnienie w mdłą pochwałę albo zdawkową grzeczność, jeśli nie jest słowem pisarza, obdarzonego piękną zdolnością ukazywania ludzi. Bez tego daru, udzielonego nielicznym, jałowe są wysiłki utrwalenia w mowie zjawisk tak nieuchwytnych, płynnych, niepowtarzalnych, jak gest, wyraz twarzy czy barwa uczuciowa głosu. Cóż dopiero, gdy chodzi o sekrety indywidualności aktorskiej! — Te dla słowa przeciętnie niedołężnego zamknięte są na siedem pieczęci. Można, gdy nie stać na więcej, ślawić z dowcipną miną „dolki na policzkach” i „zadarty nos” — „jublatki, albo też szczebiotać w rozczuleniu: „Pani jest bardzo wielką, bardzo wielką, bardzo wielką aktorką... Lepiej wszakże przy takich okazjach poprosić klasę”. Otóż tu klasnąć, choć klaszkaną na zabój, trudno było bez zaciśnięcia zębów. Częstość pochwał, nawet w takich okolicznościach, przypada sztuce. Sztuka zaś przypomiwała żywo tego otyłego gomościana, który jakieś dziesięć lat temu paradował w dni świąteczne po ulicach śródmieścia w białym kontuszku, czerwonych butach i przy karabeli. Niósł się nadzwyczaj uroczyście, podkreślał wąs, poprawiał wylotów i toczył wkoło dumnym wzrokiem, jakby powiadając: otom Polak, panie mosterdzieju, patrioty i pan z panów, że kłękajcie narody. Może istotnie, biedny stary kabotyń biał to błazenstwo za manifestację patriotyzmu. Cokolwiek tam przeciw roilo mu się w myśli, nie mogło to być bardzo poważne i sprawiłoby dużo przykrości ukazanie się z nim pod ręką na takiej promenadzie polskość. Ćwiklińska, wybierając czy tylko przystając na *Spadkobiercę*, przyluliła się do rękawa żupana z afektacją, świadcząca o zębieniu jej, zdawa-

łoby się, niezawodnego poczucia śmieszności.

Dostała się też na scenie, w dworku pod białodrzewem, w kompanję postaci, jakby przeniesionych żywcem z komedjo-oper z przed stu dwudziestu lat. Tam chyba tylko, w sztukach z okresu jeszcze bardzo prymitywnego nacjonalizmu, mogli występować równie pozbawieni pomysłowości wydrwigrosze narodowych uczuć. Warto sięgnąć po przykłady. Oto wchodzi pan Obierzyński, nowy dziedzic, przybywający prosto z Ameryki, i od progu zaraz powiada (z kiepską po węgiersku): „przepraszam... nie mogę... ta ręka padać... bo jak ja zobaczył moja ziemią, ja ją chwytam... ja ją ścisnąć... Hej, lzy się kręca!” — A to Sikiereka syn, przewiesiwszy przez ramię gitarę ustrojną we wstążki, prosi Sikierekę ojca o pozwolenie na ożenek; gdy ojciec nachmurzony kręci głową, syn uderza w struny i nuci: „Tam na błoni błyszczy kwiecie”; nie trzeba nic więcej — stary podryguje, przytupuje, przyśpiewuje, aż wreszcie zrywa się, krzesze holubce i zasapany udziela błogostawienia. — Takie właśnie „polekie, rolnicze, samoęckie” — jak wykrzyknął w zachwycie któryś ze sprawozdawców — jest tu wszystko. Postacie z bardzo rodzinną pogardą dla wszelkiej organizacji, nawet organizacji intrygi w farsie, hasają po scenie, zabawiając widza dość niewydarzonymi amorami i dość płaskim dowcipem.

Gdyby się tem zadowolili, możnaby na nie machnąć ręką — nie wszystkim dowcip i amory idą jak z płatka. Ale mają one większe ambicje. Sztuka powstała w czasach roznamiętnienia reformą rolną i na swój sposób chce wziąć udział w walce. Na swój sposób, to znaczy wierząc święcie, że od lat stu dwudziestu nic się nie zmieniło w układzie sił społecznych. Ta dywersja we współczesność wygląda tak, jakby ów jęmośc w białym kontuszku, załgawszy się z ran, przychodzi do dworu, rzewnie wspomina czasy poddaństwa i zaprasza dziedzica w kuny. Sens takiego układu wydarzeń jest aż nadto jasny: Nie dajcie ziemi! — wykrzykuje autor buńczucznie — obejdzim się bez obrony państwa, które uznało reformę rolną! W potrzebie chwycimy za widły i nie nam się nie stanie, bo chłop jest dobry, swój, samosejki! — Trudno taką „ideologję” nazwać obскурantyzmem — obскурantyzm ziemiański miał zawsze na tyle zmysłu rzeczywistości, aby przy każdym rzędzie stanąć w mundurze kamerjunkra, pokłonić się do kolan — „Najjaśniejszy Panie...” i tak zapewnić sobie „kwaternek” wojskowy na wszelki wypadek. Wygraża widłami, odwracając sytuację, nie ośmielał się nigdy. Na to może się tylko zdobyć histeryczna i nieodpowiedzialna, bezdziewkowa i rzadko wyglądająca na świat z kojca swych bezpiecznych stosunków — miejska kulturerja.

Stanisławski wprawił postacie w ruch, od którego tętniła scena, i aktorzy zagrali je doskonale. Co zresztą ani na chwilę nie zdolało zatuzować wrażenia, że tu fałsz na fałszu jedzie i fałszem pogania.

BOHDAN KORZENIEWSKI

SPRAWY NIEMIECKIE

ESSAY

Piśmiennictwo niemieckie nie obfituje w zbiory aforyzmów. Inaczej niż Francja, gdzie sztukę aforyzmu najświetniej rozwinęli Rivarol i Chamfort, a potrafił się nią jeszcze dziś posługiwać Suarès i Alain. Nazwiska Heinsege, Lichtenberga, Schlegla, Novalisa i Nietzschedgo wyczerpują wszystko, co z niemieckich *Myśli* żyje w myśli niemieckiej. Żyje — musimy dodać — u elity i w podręcznikach historii literatury. Albowem w eszerekich masach czytelniczych, gardzących wierzukaną strawą, ani ci autorzy (z wyjątkiem Nietzschedgo) ani ich dzieła nie znalazły echa.

Nie też dziwnego, że zupełnie przeoczono aforyzmy pewnych pisarzy i poetów, wysoko cenionych za inne osiągnięcia, jakkolwiek owe rozproszone aforyzmy stanowią najistotniejszą wartość ich twórczości, imponującej przecież nietylko rozmiarami. Nestroy, na przykład, jest mistrzem aforyzmu, a tak samo Lagarde. Do tych dwóch, długo ignorowanych i późno uznanych, nawiązuje Schaukal swoimi *Myślami*. Oczywiście nie w drodze świadomego naśladownictwa, tylko przez powinowactwo wewnętrzne, przywołując również na pamięć cziasem Rivarola, Chamforta, moralistów XVII wieku, to znów poprzedników niemieckich — od Lichtenberga do Nietzschedgo.

Schaukal (a obok niego Theodor Haecker i Karl Kraus) należy do tych nielicznych Niemców, którzy razem z samoograniczeniem

i powściągliwością wyrazu potrafią osiągnąć pełni wypowiedzenia — zdolność, na której się opiera sztuka aforyzmu. Schaukal oraz wymienieni obok niego pisarze posiadają to, co Francuz nazywa *esprit*, a co się w zupełności nie da przetłumaczyć niemieckim słowem *Geist*. (Proszę zajrzeć do *Encyclopédie* i zobaczyć, jak Voltaire, który się do brzo na tem znał, definiuje wyraz *esprit*). Z tą swoją igrzącą lekkością i zdolnością do wykrywania nieoczekiwanych zestawień, do wydzierania genjuszowi mowy powagi, żartu i głębszego znaczenia, przechodzi Schaukal przez świat, patrząc, przyglądając się i wstrusając ramionami. Nie wyśmiewa i nie ośmiesza świata, nie pogardza nim i nie korzy się przed nim; z zimną rezerwą spogląda na życie (razem z jego codziennością), wiedząc — i w tem tkwi wewnętrzna siła moralna Schaukala, — że wszelkie dysonanse natury ludzkiej znajdują rozwiązanie w dziedzinie czystego ducha. To i tylko to uzbraja go przeciwko ironji i cięsom teraźniejszości i pozwala mu ponad tę teraźniejszość wznieść bieżącą ironji własnej.

Bogactwo tych *Myśli* trudno mi przedstawić w krótkości. Jakkolwiek oszczędne mistrzostwo idealnie celowej i wyłączającej wszelką dwuznaczność ekstrepiacji daje (chciałoby się prawie powiedzieć) myślowo-sportowe zadowolenie, to jednak, jak przypuszczam, największy urok tych *Myśli* polega na doskonale wyrównaniu pomiędzy rozumem a uczuciem, pomiędzy drwiną a dobrocią, pomiędzy obelgą a powagą, pomiędzy sła-chetną pańskością a ludową dobroduszością. Rzecz charakterystyczna, jak Schaukal potrafi przekształcić tanią mądrość przysłowia w mądrość rzeczywistej głęboi i drogocenną; jak nie unika przy tem pozornego nonsensu, jeżeli mu to jest potrzebne do wykrycia sensu głębszego; jak umie (i w tem poznajemy mistrza) z tak zwanych *bons mots* tworzyć rzeczywiście dobre słowa, przeskakując od jednego do drugiego, od bezpośredniego do przenośnego znaczenia wyrazów. Przysięgłemu wrogowi beznadziejnie cięsnym tez służyć ich antytezy do ironicznego uzmysłowienia faktów, których nie dająca się ogarnąć wzajemna zależność tworzy tragizm istnienia.

Aby dać przybliżone wyobrazenie o nieomyślnej trafności tych sentencji — oto kilka przykładów: „Opinia o człowieku wyprzedza jego czyn: człowiek musi jej sprostać”; „Niewiele się ma wartości wśród rodzonych braci”; „Poglądy to okulary krótkowzrocznych wyobrażeń”; „Pozwoli pan usiąść ołok? — Nie mogę temu przeszkodzić, ale sam wstane”; „Cytaty mają jakieś podobieństwo do wypchanych ptaków”; „Mogę uznać każdego, ale tylko za to, czem jest”; „Cien wielu ludzi jest mniejszy od ich pozoru”; „Ręka rękę myje a obie są brudne”; „Niema nic żalobniejszego od człowieka, który się przewrócił — zarówno w znaczeniu cielesnym jak duchowym i moralnym”; „Niemiec, którego duch unosi się nad głębią i jest przez nią przyciągany, prawie zawsze w niej się pograża”; „Człowiek nazywa w sobie naturalnością wszystko to, co jest w nim ze zwierzęcia”; „Próżność jest brakiem moralnym, który się powołuje na cielskie lub duchowe zalety”; „Próżność przeżąda się nawet w zwierciadle kałuży”; „Kultura jest nieświadomym kształtowaniem życia, cywilizacja — bezmyślnym wychodkiem”; „Roz-targnienie jest oznaką skupienia”.

Wepinając się w górę drogą kroczy Schaukal od rzeczy aż nazbyt ziemskich do najwyższych i ostatecznych. Nie chce jednak przez pobieżne cytowanie odbierać powagi jego szlachetnym zdaniom, w których wyznaje wiarę w duszę nieśmiertelną, „dziedzictwo wieczne”, i w Boga, „przeznaczoną podstawę światów”. Zdania te umacniają, doprowadzają do kresu i doskonałości szorstką wyniosłość jego olniewających *Myśli*.

OFB

PRZEGLĄD PRASY

MATERJAŁ DLA PSYCHOLOGII TWÓRCZOŚCI. Tuwim niejednokrotnie już dawał w artykułach swoich pierwszorzędny materiał dla badań psychologii twórczości. Niezwykle lojalny stosunek tego poety do własnych przeżyć, szczerze w najlepszym tego słowa znaczeniu, a więc brak z jednej strony ekshibicjonizmu, z drugiej zaś strony zaklamania sentymentalnego, sprawiają, że wypowiedzi jego o procesie tworzenia są pewnego rodzaju dokumentami, których nie wolno pominąć żadnemu estetykowi ani psychologowi twórczości. W 15 nr. *Wiadomości Literackich* daje poeta świetny materiał dla badania t. zw. rozwoju władz twórczych. Proces ulegania wpływom tradycji literackiej (w tym wypadku lirycy Staffa głównie), walki o własny wyraz uzyskuje w artykule Tuwima ciekawe oświetlenie. Dobrze się złożyło, że Tuwim zachował rękopisy swoich pierwoicin literackich. Zwykle pisarze niszczą je, co oczywiście nie jest szkoda dla

sztuki, ale wyraźną stratą dla psychologii. Rękopisy Tuwima — wobec tego faktu — mają podwójną wartość. Bezpretensjonalny, pełen wdzięku sposób komentowania ich przez poetę pogłębia treść tych dokumentów.

JEDNORODNOŚĆ PRZEJAWÓW STYLU EPOKI. W nr. 3 *Wiedzy i Życia* występuje Z. Dembowska przeciw stosowanemu przez estetyków sposobowi ujmowania zjawiska „stylowości” w różnych dziedzinach sztuki. Przenosili oni kategorie właściwe dla jednej sztuki na wszystkie inne (rytm, liniowość, malowniczość i t. p.), nie zwracając uwagi na to, że zagadnienia formalne każdej sztuki są tak odrębne, że jedynie bardzo nieściśle i przenośnie można nimi się posługiwać przy charakteryzowaniu innej sztuki. Autorka wychodzi z założenia: „sztuka w różnych epokach jest zupełnie inna; natomiast w obrębie jednego okresu i jednego terenu zmiany, zachodzące w sztuce, są jednoznaczne ze zmianami, zachodzącymi mniej więcej w tym samym czasie we wszystkich innych sztukach. Innymi słowy są to zjawiska zewnętrznie różne, ale wewnętrznie teżsame, jednorodne”. Charakteryzując jednak wspólne cechy odrębnych dziedzin sztuki danego okresu, nie wolno, jak to dotychczas robiono, przenosić mechanicznie kategorie właściwych jednej dziedzinie na inną. lecz należy użyć schematu odpowiadającego zasadniczym elementom każdego dzieła sztuki: materiał, motyw, kompozycja, charakter. Posługując się tym ogólnym schematem, dostrzeżemy — według zdania autorki — cechy wspólne dzieł różnych dziedzin sztuki danego okresu, objawiające się w podobnym sposobie pojmowania materiału, motywu, kompozycji, charakteru różnych dzieł. Autorka ilustruje swoje wywody analizą renesansowego grobowca St. Radziwiłła, *Sobótka* Kochanowskiego i wierszem K. Wierzyńskiego. Analizy te przekonywują; nie stanowią jednak dostatecznego argumentu dla wywodów autorki, zjawiają się bowiem wątpliwości, czy w istocie wszystkie dzieła danego okresu wykazywałyby podobne cechy jak dowolnie przez autorkę wybrane przykłady. To zaś dopiero dokumentowałyby zasadniczą tezę autorki.

W tym samym numerze interesujący artykuł o artystycznych tendencjach europejskiej muzyki współczesnej (A. Szpak. — „Walka o rozlicie atomu muzycznego”) oraz szkice W. Borowego, ciekawie oświetlający stosunek Anglii do Krzyżaków.

LITERATURA BRUNATNEJ KOSZULI. Tak przesyleni jesteśmy ustawicznymi deklaracjami proletarjackiej prasy literackiej, że z wdzięcznością przyjmujemy choćby demagogicznie jednostronne, ale konkretne informacje o literaturze „faszystowskich” Niemiec. Oczywiście, zdajemy sobie doskonale sprawę, że niecała literatura niemiecka współczesna przedstawia się tak ubogo i ponuro, jak opisane przez H. Bela książki propagandowe, w których autorzy gloryfikują ruch narodowo-socjalistyczny. Nie przeszkadza to nam jednak z zainteresowaniem przyrzec się tej agitacyjnej literaturze. Co ciekawsze, to fakt, że mamy nieodparte wrażenie, że poziom artystyczny i intelektualny tych politycznie „budujących” ramot, jest bardzo bliski poziomowi t. zw. „twórczości” proletarjackiej — i to nie tylko sowieckiej. Propaganda, robiona środkami literackimi, prowadzi do podobnego schematyzmu, prymitywizmu myślowego, moralnego i artystycznego. Wystarczyłoby lekko pozmienić hasła, gdzieś gdzieś nazwiska bohaterów powieści i „wodzów”, a otrzymalibyśmy znane nam „agitki” powieściowe. Potwierdza to, jak zgubne dla istotnej twórczości artystycznej jest wszelkie nadużywanie jej dla różnych celów politycznych. Jaka szkoda, że t. zw. pisarze proletarjacy, tak przenikliwie dostrzegający szkodliwe konsekwencje propagandy politycznej narodowo-socjalistycznej, nie dostrzegają ich twórczości „proletarjackiej”. (*Lewar*, nr. 3). Marginesowa uwaga: przy lekturze ostatniego numeru *Lewara* zadziwia nieproporcjonalna ilość tłumaczeń, a więc *Komuna Paryska* (K. Marx), wyjątek z *Wojny i pokoju* (L. Tolstoj), *Romain Rolland o sobie*, wyjątki z pism Heinego. Ponieważ tłumaczenia te nie wnoszą specjalnie interesujących momentów (w przeważającej ilości mają charakter ogólnikowych manifestów), niebardzo celowe wydaje się ich publikowanie we współczesnym piśmie literackim. Chyba że wynika ono z braku współczesnych materiałów publicystyczno-krytycznych?

ZIEMIA POLESKA. Tragiczne stosunki, panujące wśród chłopstwa na Polesiu, przedstawia w nr. 5 *Myśli Polskiej* F. A. Ossendowski. „W domach ni nafty ni zapalek, tylko — szczapa osonowa, krzemień i hubka; zapomniano tam o cukrze i herbiecie...; niema tam na ubranie i obuwie...; znikły nici niezhędne na sieci, więc i rybactwo zamierać zaczęło. Poleszok puchnie z głodu, choruje w milczeniu i umiera... cieszy się, gdy mu dzieci mrą, jak muchy, a ludzi starych, do niczego już niezdatnych, sam wy-

prowadza do lasu i zostawia...” Ossendowski słusznie zauważa, że nie wystarczy chwilowa pomoc, konieczna tymczasem, ale „potrzebne są inne posunięcia, stała i wydajna pomoc, która, nie będąc jałmużną i tak modną teraz „zapomogą” ze „złołu” skarbowego, podniosłaby Polesie z nędzy i calemu państwu przysporzyłaby korzyści realnych”. Opinia poleska jest niepamiętliwa, sprawa Polesia powinna więc być przez prasę polską ustawicznie przypomniana, gdyż jest to jedna z najboleśniejszych spraw polskich, o której zapominać nie wolno.

W. BAK

KRONIKA

PRIMUM VIVERE...

Lwów, miasto najwyższych zasług dla państwowości polskiej, mimo to miasto niedość przez tę państwowość zabezpieczone przed groźnymi następstwami kryzysu, deklasowane w ciągu ostatnich lat, i coraz rozpaczliwiej przypominające się społeczeństwu — zajęło dziś pierwsze miejsce w opinii narodu. Bolesna i wstrząsająca jest ta chwila, od której, być może, zaczniesz się wreszcie lepsza dola świetnego ongiś grodu kresowego. Tymczasem jednak we Lwowie, w wydarzeniach, które w nim zaszły, skupiła się wprost symbolicznie dzisiejsza sytuacja wewnętrzna kraju. Bezrobocie i szczupłość środków zaradczych przeciw bezrobociu, krecia robota żywiołów wyrotowych, zgodnie z wyprobowaną taktyką komunistyczną obojętnych na to, jakimi ofiarami ludu ma być okupiony najniższy nawet sukces tej roboty, i odpowiedzialna rola władz, które muszą być świadome, że taki właśnie sukces wyrotowców, odniesiony choćby na drobnym stonkowno odcinku, grozi powsechną klęską społeczną — oto zasadniczy eplot kontrastów i czynników, dynamicznie tkwiących w każdym większym ośrodku życia polskiego. Wydaje się jakgdybyśmy się znaleźli w kulminacyjnym punkcie przesilenia gospodarczego, którego pomyslnie rozwiązanie zależy od nieomyślnych norm taktycznych, równocześnie jednak od chłodnego opanowania nerwów. Z pewnością zaś poza okresem formowania się państwa w r. 1918 — 1919 i poza r. 1920, żaden rząd polski nie stał w obliczu takich konieczności i takich decyzji, jakich wymaga chwila dzisiejsza.

Z równą też słusnością jak wówczas, ma rząd dzisiejszy prawo odwołać się do współpracy całego społeczeństwa, do tej jedności narodu, która wyklucza targi i przetargi o sprawy doraźne, emulację o pierwszeństwo programów politycznych, tem bardziej — odzieni tego samego programu. Wobec niezmiernie jasnych postulatów, wynikających z nieublaganą logiką z dzisiejszej rzeczywistości, trzebaby chyba zapomnieć o tysiącu i jednym programie „naprawy”, rzucanym niefrasobliwie w tysiącu i jednym artykule dziennikarskim, referacie konwentyklowym, przemówieniu wiecowym, a nawet sejmowym. Te wyraźne postulaty nazywają się bezrobocie i głód. Bezrobocie nie znaczy nic innego prócz swojej własnej treści. Nie znaczy więc, że aby usunąć bezrobocie należałoby z obecnego państwa zrobić, jak chce jedna opozycja, jakieś osobliwsze państwo „narodowe”. Nie znaczy też zrobić zeń państwa „ludowego”, ho ani w pierwszym ani w drugim wypadku bezrobocemu nie będzie lżej wśród nowych dekoracji. Dławi nas klęska bezrobocia w takim państwie, jakie jest, jakieśmy od chwili niepodległości wybudowali. Bezrobocie, jak każde głęboko wchodzące w życie zjawisko, może mieć taki czy inny wpływ na kształt i ustrój społeczny, nie może przecie służyć za środek do robotnia eksperymentów politycznych. Byłoby to bowiem to samo, co sztucznie przedłużanie choroby w domu z chęcią oglądania, co też z tego wynika.

Bezrobocie jest zagadnieniem o własnych wymiarach i granicach, z czem naogół jak najmniej się liczymy. Gdy jednak zechcemy się z niem liczyć właśnie w jego prawdziwych wymiarach, uzyskamy jako pierwszą prawdę świadomości, że aby w stopniu dostatecznym zlikwidować bezrobocie — na to nie mamy wystarczających środków i sposobów. Nie mamy z różnych i wszystkim wiadomych racyj, takich jak ubóstwo, małe wewnętrzne spożycie produkcji, mały eksport, mały zapas złota, duży zatoryst ludności. Pracy wszystkim bezrobotnym nie mamy, ho jej w dzisiejszych warunkach kryzysowych niema. Tu się wymyśli trochę „robot publicznych”, tam się pokopie trochę węgiel, ówdzie dziury w gościu naprawi — z czego wyniknie chwilowa korzyść dla małego odsetka bezrobotnych. Reszta pozostanie nadal bez pracy, podtrzymywana zasiłkami lub głodem. I znowu to jest najważniejsze, że głodna. Jest rzeczą oczywistą, że tu właśnie leży ciężar zagadnienia. Czy mianowicie nie należy przedewszystkiem o tem myśleć, aby nie było głodnych?

Odrzuć wypadnie odrzucić wygodny wykręt, że chleb bez pracy jest czynnikiem demoralizującym. Może i jest, ale nie wówczas, gdy bezrobotnemu nie można ofiarować pracy. Natomiast od bezrobotnego, który nie jest głodny i nie patrzy na głodne dzieci, można żądać cierpliwości i poszanowania ludu, można mu śmiało przeciwstawić siłę broniącą tego ludu — czego jednak niepodobna z lekkim sercem stosować do ludzi napółobłąkanych i rozdrażnionych z niedojadania. Ani Kraków, ani Lwów, ani nawet Częstochowa nie są największymi ośrodkami robotniczymi. Zagłębie Dąbrowskie i Śląsk powinny, biorąc rzecz teoretycznie, wyprześcić tamte miasta pod względem zaburzeń, strajków okupacyjnych, i nie daj Boże, krwawych starć z policją. A jednak, mimo że tam właśnie jest największe nasilenie bezrobocia, na szczęście nie doszło do tego, a strajki są tam normalną bronią zawodową. Czy nie dzieje się tak dlatego, że zarządy kopalni, nie oglądając się zbytnio na pomoc różnych funduszów, dożywają swoich bezrobotnych, zapewne nie z nadmiaru serca, lecz z prostego wyrachowania, że gromadzący się koło szybów tłum bezrobotnych nakarmionych jest bezpieczniejszy, niż taki sam tłum głodnych?

Chwilowo jest to z pewnością i najważniejszy i najłatwiejszy sposób odraczania, unikania i zapobiegania ostrym starciom ulicznym. Skąd wziąć chleba, mięsa, kaszy, omasty? Nad tem właśnie powinny się zastanowić odpowiednie czynniki. Oczywiście kupić u chłopa na wei, u rzeźnika w mieście. Za co kupić? Za owe pięć kilometrów szosy, nud którą pracuje 100 robotników dziennie za cenę 300 złotych, a na którą wyjdzie materiału za wiele setek tysięcy. Ale nie będzie szosy! To nie będzie. Synt nie robią rewolucji, chyba od upału słonecznego w południowej Ameryce. A że się będą nieco demoralizować leżąc nad przydrożnymi rowami i patrzeć na dzieci zbierające kwiatki i łapiące motyle — i to również lepsze niż przedczesny odpoczynek na cmentarzach po gruźlicy i tyfusach.

Taki zgrubsza oznaczony program nie jest oczywiście ani popularny ani, — najlepiej wykonany — nie zapowiadający się jako sielanka. Różne się z nim łączą „imponderabilia”, różne trudności; wisi nad nim zawsze groźba mozołnego, biurokratycznego i przy-ciężkiego aparatu. Przecież, — chodzi o wojnę z kryzysem, wojnę o życie setek tysięcy, a w obronie bezpieczeństwa wewnętrznego państwa. W dalekich miejscach kresowych na wachodzie, gdzie armja nasza pełni, oprócz zwykłych obowiązków, jeszcze misję cywilizacyjną, wojsko bez osobnego aparatu prowadzi akcję żywienia ludności, bodaj że z własnych funduszów. Może zechciałoby ją prowadzić w szerszym zakresie, wszędzie gdzie tego zachodzi potrzeba, z funduszów „cywilnych”?

Tak więc, odłożywszy do najdalszej przyszłości budowę pałaców, „Wielkiej Warszawy” i t. p., można by w najbliższych godzinach zacząć karmić głodnych i usuwać im spod nóg wszelki teren, który im pali stopy i nad którym unosi się powietrze, rozpalające głowy.

CZY NIE ZA WIELE NA JEDEN RZĄD?

Trzeba zwrócić uwagę na naturalne zjawisko, polegające na tem, że zewsząd odzywają się głosy co trzeba zrobić, o ile zaś te głosy stają się rezolucjami, składane są na ręce premiera. Niema co tańc, będzie z tem trochę kłopotu, i to tem więcej, im szersze zadania „wyznaczają” rządowi poszczególne sejmiki. Narazie najobscywniej wypowiedział się nadzwyczajny zjazd zarządu głównego Federacji Polskich Obrońców Ojczyzny. Wielopunktowa rezolucja wychodzi z założenia, że „niema tak trudnej sytuacji, ani tak trudnych warunków, w którychby nie można odnieść rozstrzygającego wyniku”. Dokąd ten wynik „odnieść” — jest to mniej ważne, wobec stwierdzenia, że „idea naczelna, przekazana nam przez naszego Wodza, jest budowa pracy rzeczywistej i potęgi narodu i państwa tak w znaczeniu politycznym i militarnym, jak kulturalnym, moralnym i gospodarczym”.

Po tym ogólnikowym wstępie, który jest powtórzeniem wszystkich chyba deklaracji wszystkich dotychczasowych rządów, idą następujące punkty szczegółowe:

- 1) idea silnej Polski powinna objąć najszersze masy ludu polskiego;
- 2) należy powołać do życia obóz polityczny o jasno zarysowanym programie;
- 3) „element kombatancki musi odegrać poważną rolę, tak ze względu na samą tradycję, jak i aktualne napięcie ideowe”;
- 4) musimy się wydożyć własnym wysiłkiem z przesilenia gospodarczego „przez przewyciężenie przyczyn kryzysu i stabilizację warunków dobrobytu społecznego”;
- 5) zmiana struktury społeczno-gospodarczej przez uprzedyslowienie Polski, oparte o własne kapitały narodowe;
- 6) zmiana ustroju rolnego;
- 7) aktywizacja życia gospodarczego w jaknajszerszych granicach;

8) należy „przejsć na szerokim froncie do ofensywy ideowej“;

9) Federacja powinna skupiać elitę kombatancą;

10) Federacja musi „za wszelką cenę przerwyc pomost między Federacją a młodem pokoleniem“.

Wszystko bardzo słuszne w zasadzie.

Dwa ostatnie punkty dotyczą ściśle Federacji, urzeczywistnienie ośmiu poprzednich wymaga pomocy rządu. Tych ośmiu punktów obejmuje program, obliczony chyba na spory okres czasu. Czytając je, ma się chwilami wrażenie, że wszystko trzeba dopiero robić odnowa i że wszystko to powinien zrobić obecny rząd, jeżeli ma odpowiedzieć zadaniom chwili. Z tego powodu nasuwają się następujące uwagi:

Jeden taki drobiaz jak przebudowa struktury społeczno-gospodarczej dąży się szybko zatłwić, gdyby był dostatecznie przygotowany. Ale nie był, i w tym miejscu nabierają wagi zastrzeżenia krakowskiego oddziału Federacji pod adresem kombatantów, którzy „mieli zlecony obowiązek rozwiązywania licznych i ważnych zagadnień gospodarczych oraz socjalnych, obowiązku tego mimo upływu szeregu lat, w dostatecznej mierze spełnić nie zdołali“.

Co to znaczy „przewyciężenie przyczyn kryzysu i stabilizacja warunków dobrobytu społecznego“? Który z kombatancich rządów nie próbował rozgryźć tej tajemnicy i wyrzekał się warunków dobrobytu, a nawet samego dobrobytu? Tu trzeba by koniecznie ułatwić zadanie rządowi i powiedzieć mu, jak zrobić takie przewyciężenie.

I tak, każdy niemal z punktów rezolucji kombatanciej uderza swoim rozumem: szerokim zasięgiem, przypomina jednak nerwowy nastroj sztabowców, z których każdy ma dobry plan strategiczny, ale nie każdy dobrze obliczył siły, jakimi rozporządza generalissimus. On tymczasem, w danym wypadku rząd, ma zadanie najprostsze z najprostszych: za wszelką cenę nakarmić żołnierza, potem zaś dokarmiać go ideą i wzruszeniem pierwszego zwycięstwa. Musi to naprzód zrobić, gdy został żołnierz niedokarmiony ideowo w okresie jako tako urodzajnym, bo kombatanci — według swego szczerego wyznania — obowiązku „mimo upływu szeregu lat, w dostatecznej mierze spełnić nie zdołali“.

STANISŁAW ROGOŹ

MIMOCHODEM

ANGLJA — FRANCJA 108:60. Proszę nie myśleć, że to wynik meczu lekkoatletycznego. Cyfry te oznaczają ilości przekładów z angielskiej i francuskiej literatury pięknej na język polski (rok 1934). 108:60 na korzyść literatury anglosaskiej! Cyfry bardzo charakterystyczne, bo oznaczające, coraz wyraźniej odczuwaną w Polsce, tendencję anglofilską.

Wpływy francuskie w Polsce niestety maleją. Od czego to zaczęło się, trudno powiedzieć, rozmaici ludzie rozmaicie komentują. Faktem jest, że spostrzegamy to w wielu dziedzinach.

W polityce akcje francuskie zniżkują, dalecy już jesteśmy od *entente cordiale* z przed lat kilku. W gospodarce również związku są coraz silniejsze z Anglią a słabsze i coraz słabsze z Francją; procesy żyrodowskie, niepokrycie transz kolejowych linii Górny Śląsk — Gdynia, egoistyczna polityka taryfowa, usuwanie polskich emigrantów, pogłębiają ten rozdział i oziębiają tradycyjny nasz sentyment.

Nawet w modzie notujemy inwazję „made in England“ i „made in U. S. A.“ łącznie (proszę nie śmiać się, bo to wymowne) z amerykańskimi okularami rogowymi.

A język? Przecież dziś każdy, kto uczy się języka, uczy się przede wszystkim angielskiego. W świecie snobistycznym należy do dobrego tonu znać ten język. Kto dziś słyszy dawne — pardon? Kto nie słyszy natomiast — o key lub coś w tym rodzaju?

ELEUTHERIOS VENIZELOS UMARŁ. Sławny kreteńczyk i republikanin. Był współtwórcą upadku monarchii, był sztandarowym mężem greckiej republiki. Już jako starzec, na kilka miesięcy przed śmiercią, nie zawahał się wywołać rewolucji aby zagrozić drogę powracającej monarchii.

Nie udało się: zgryziony i zniechęcony umarł na emigracji. Zdawaloby się — złamana kłeska i ruina dzieła jego życia.

Ale oto jego ostatni list do politycznych przyjaciół kończył się okrzykiem: „wołam z całego serca: niech żyje król Jerzy II“. Ten republikanin? Co za paradoks!

(ut)

LISTY DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 8/125 (z 22 lutego 1936) pojawiła się w *Pionie* recenzja pp. H. Rylskiego i M. Walczaka z mojej książki *Szkolnictwo i pedagogika w Rosji Sowieckiej*. Autorzy tej recenzji kończą ją słowami: „jedno zostanie na zawsze niezrozumiane, apoteoza szkolnej polityki Rosji carskiej, nie wyłączając jej stosunku do mniejszości“. Zarzut ten był już przedtem skierowany przeciwko mnie przez p. M. Gąsiorowską w jej recenzji ze wspomnianej książki (*Chocanna* 1934, Nr. 3). Nie odpowiadałem nań dlatego, że nie uważam za obowiązek autora polemizować z każdą krytyką jego poglądów. Robię to tylko tam, gdzie, powracając do tego samego tematu w nowym piśmie, mogę swą odpowiedzią przyczynić się do wyjaśnienia rzeczy samej. Ale ten sam zarzut był znówu powtórzony przez p. A. Dobrowolskiego w jego artykule „Legenda o Prof. Hesse“ (*Głos Współczesny*, 1936, Nr. 1). Ton tego artykułu w połączeniu ze sposobem cytowania przez jego autora moich pism („czytanie w sercu“ nie cofa się tu nawet przed zniekształceniem cytata) zwołnił mnie od obowiązku odpowiedzi temu autorowi. Ale w *Pionie* zarzut ten powtarza się już po raz trzeci i to ze strony recenzentów, których zyczliwość w stosunku do mnie nie podlega wątpliwości. Nie mogę się więc już tym razem powstrzymać od odpowiedzi. Usprawiedliwieniem mem niech będzie to, że będę mówił nie o swej osobie, lecz o rzeczy samej, mającej znaczenie obiektywne.

Jedną z głównych przesłanek dla słusznego zrozumienia tak szkolnictwa rosyjskiego jak i całej kultury rosyjskiej ostatnich czasów jest, zdaje mi się, zasadnicze rozróżnienie między społeczeństwem i narodem rosyjskim z jednej strony, a carskim rządem, tak samo jak rządem bolszewickim ze strony drugiej. Szkolnictwo w Rosji przedrewolucyjnej bynajmniej nie było „carskim“, będąc wytworem działalności samego społeczeństwa, przedewszystkiem inteligencji rosyjskiej, ziemstw, miast i t. d. Jeżeli w swej książce mówię o niezwykłym rozkwicie szkolnictwa rosyjskiego w okresie między dwiema rewolucjami (1906 — 1917), to zawsze podkreślam, że rozkwit ten był spowodowany nie działalnością rządu carskiego, lecz aktywnością samego społeczeństwa, które stało w ostrej opozycji do rządu i działało wbrew rządowi. Opinia publiczna miała jako swe ogniska samorządy miejskie i ziemskie i pod jej naciskiem nawet konserwatywna Duma Państwowa była zmuszona rozpocząć dzieło odnowienia szkolnictwa (por. str. 15 mej książki). Nie pomijam, tego, że rząd przeciwstawiał się zwycięstwu tej „tradycji demokratycznej“ społeczeństwa rosyjskiego (np. str. 21) i twierdzę tylko, że rząd carski nie miał siły i wewnętrznej pewności, żeby przeszkodzić postępowi owej tradycji. Uniwersytety rosyjskie (z wyjątkiem Uniwersytetu w Warszawie) były placówkami ruchu przeciwstawianego, tak samo i szkolnictwo utrzymywane przez ziemstwa i samorządy miejskie, nie mówiąc już o bardzo rozpowszechnionym szkolnictwie prywatnym, którego wpływ na szkolnictwo, nawet bezpośrednio utrzymywane przez państwo, był coraz bardziej silny. Dlatego, jeżeli charakteryzuję w barwach względnie pomyślnych (owszem, nie pomijając i jego braków, str. 20 i n.) szkolnictwo w Rosji przed rewolucją r. 1917, nie oznacza to bynajmniej „apoteozę“ rządu carskiego.

Co się tyczy specjalnie polityki rządu carskiego wobec mniejszości, to bynajmniej nie „przemilczam“ zupełnie praktyki rusyfikatorskiej (powtarzając to twierdzenie znówu w *Wiadomościach Literackich*, 1936, Nr. 15, p. A. B. Dobrowolski mówił nieprawdę). Pięczę tylko, że „twarda polityka rusyfikacji uprawiana przez rząd cesarski nie zdołała doprowadzić do skutecznych wyników“ (str. 179), chociaż „politykę rusyfikacji uprawiano bez przerwy aż do wybuchu rewolucji lutowej 1917 r.“ (str. 181).

Nie zdołała według mego zdania nietylko dlatego, że u narodów, posiadających swą żywą, dawną kulturę naraziła się na opór tradycji narodowej, u innych zaś na obudzenie świadomości narodowej pod wpływem radykalizmu rosyjskiego (por. str. 181), lecz i dlatego, że była potępiana przez opinję publiczną rosyjską. Działacze nielegalnego związku nauczycielskiego polskiego pamiętają, ile zawdzięczają zarządowi „Wszchrosyjskiego Związku Nauczycieli“, który zawsze i często w sposób bardzo skuteczny (nawet za czasów swego również nielegalnego istnienia) popierał prawo mniejszości do swego narodowego szkolnictwa. W odróżnieniu od rządu pruskiego, rząd carski nie miał dla swej polityki rusyfikatorskiej odpowiednich służ. Była ona prowadzona przez czynowników o charakterach i zdolnościach najgorszych, zresztą niepewnych słuszności swego postępowania. Utrata przez ogromną większość samych urzędników państwowych wiary w rząd carski i słuszność wymaganej od nich polityki była po pierwszej rewolucji roku 1905 (o tym okresie mówię właśnie w swej książce) zjawiskiem ogólnym i ona szczególnie usprawiedliwia me twierdzenie o konieczności rozróżnienia między Rosją przed rewolucją, jej szkolnictwem, literaturą, wiedzą, sądownictwem i t. d. a rządem carskim.

Mniej powodów, zdaje się, jest dla analogicznego rozróżnienia między rządem komunistycznym i kulturą rosyjską po rewolucji rosyjskiej. Rząd dyktatorski (którym przecież nie był nawpół absolutystyczny rząd carski) monopolizuje opinię publiczną, z korzeniem wyrusza wszystkie prądy społeczne o ideologii odrębnej, narzuca całej kulturze narodowej pieczęć swej ideologii. Ma więcej wiary i mniej niedołęstwa w jej wprowadzaniu. Jednak i on nie jest weszchpotężny i w swej książce starałem się zawsze podkreślać (por. zwłaszcza rozdz. XV, oraz str. 298 i n.) wpływ czynników społecznych, oddziaływujących w szkolnictwie sowieckim wbrew rządowi i przeciwko jego ideologii komunistycznej. Badacz kultury rosyjskiej za czasów rządów bolszewickich nie może ignorować tej aktywności samego społeczeństwa rosyjskiego i jego oddziaływania na politykę rządową. I po rewolucji październikowej Rosja i jej kultura duchowa pozostały czemuś o wiele większym niż jej mijałemu rządowi, tak że nie wszystko co się dzieje w Rosji dobrego i złego może być bez zastrzeżeń przypisywane zamiarom i działalności samego rządu bolszewickiego.

SERGIUSZ HESSEN

NADEŚLANE

Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach ogłasza niniejszym konkurs na sztukę dramatyczną i wyznacza na ten cel zł. 4.000 (cztery tysiące złotych) zasadniczo jako jedyną nagrodę, jednak z tem, że na wypadek niemożności przyznania tej nagrody w całości, przysługując będzie Towarzystwu T. P. T. P. prawo podziału powyższej kwoty na dwie nagrody po zł. 2.000 (dwa tysiące).

Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego ustala następujące kryteria w odniesieniu do sztuk scenicznych, które miałyby być rozpatrywane przez Sąd konkursowy: a) utwory sceniczne autorów biorących udział w konkursie winny posiadać nieprzeciętne wartości literackie, a co do rozmiarów winny wypełnić całe wieczór teatralny; b) utwory sceniczne mogą należeć do rodzaju komedji o zdrowych tendencjach wychowawczych; c) mogą to również być utwory sceniczne o nucie poważnej, rozważające aktualne problemy społeczno-psychologiczne, lub d) widowiska popularne o tle historycznym, obrazujące podniosłe momenty z przeszłości Polski, lub e) wreszcie regionalne sztuki śląskie oparte o motywy, zwyczajne i obrzędy miejscowe.

Ostateczny termin nadesłania utworów do oceny upływa z dniem 15 stycznia 1937 r. godz. 12-ta. Sztuki nagrodzone na innych konkursach literackich, grane już na scenach krajowych lub zagranicznych, lub też wydane w druku przed ogłoszeniem niniejszego konkursu — nie będą brane w rachubę.

Prace konkursowe winny być pisane piśmem maszynowym i dostarczone w 3 egzemplarzach zaopatrzonych godłem.

Na pierwszej stronie podać należy spis osób, występujących w danej sztuce, według ich ważności: przy ujęciu utworu ad e) dopuszczona jest gwara śląska w formie nieskażonej. Biorący udział w konkursie winni podać dokładny adres oraz imię i nazwisko, w osobnej zapieczętowanej kopercie, zaopatrzonej w godło.

Ujawnienie nazwiska biorącego udział w konkursie nastąpi po ocenie sztuk i ewentualnym przyznaniu nagród.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Teatru Pol-

skiego, zastrzega sobie ponadto nagrodzenie tylko tych sztuk, które zostały zakwalifikowane przez Sąd konkursowy do wystawienia ich na scenie Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

Utwory sceniczne, przeznaczone do udziału w konkursie nadsyłać należy na ręce dyrektora teatru p. Marjana Sochańskiego w Katowicach, Teatr im. St. Wyspiańskiego.

*

KONKURS NA NAJLEPSZE FOTOGRAFJE MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

Główna Księgarnia Wojskowa w Warszawie ogłasza konkurs na najlepszą fotografię Marszałka Piłsudskiego — dostępny dla zawodowych fotografów i amatorów, obywateli polskich oraz Polaków zamieszkałych zagranicą.

Konkurs będzie połączony z wystawą prac przyjętych przez jury, której otwarcie nastąpi w w pierwszą rocznicę śmierci Marszałka, t. j. 12-go maja r. b.

Warunki konkursu podaje listownie na żądanie Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 11.

Książki nadesłane do Redakcji

FILOZOFIA

STANISŁAW MAJEWSKI: *Z tajemnic bytu. Materjalizm wobec nauki*. Warszawa 1936. Towarzystwo Wydawnicze Młodych Prawników i Ekonomistów.

BOGDAN SUCHODOLSKI: *Wielkość sztuki a odrodzenie kultury*. Warszawa 1935.

W. M. KOZŁOWSKI: *Rapports présentés aux Congrès Internationaux de Philosophie*. Prague 1935. „Bibliothèque Internationale de Philosophie“, vol. I, no 11—12.

PLATON: *Teajet*. Przełożył, wstępem, objaśnieniami i ilustracjami opatrzył Władysław Witwicki. Warszawa 1936. Biblioteka Filozoficzna Klasyków, wydawana przez Warszawskie Towarzystwo Filozoficzne.

Ks. Dr. Prof. P. CHOJNACKI: 1. *Postulaty i logika budowy i rozbudowy filozofji tomistycznej*. 2. *Psychiczne czynniki wiary i niewiary*. Warszawa 1935.

HISTORIA

TOMASZ KĘDZIERSKI: *Powstanie styczniowe*. Geneva, przebieg, udział prawników. Warszawa 1936. Nakładem funduszu prasowego zarządu głównego Zrzeszenia Sędziów i Prokuratorów.

LEON KOCZY: *Polityka bałtycka Zakonu Krzyżackiego*. Rozprawa z pracy zbiorowej „Dzieje Prus Wschodnich“. Toruń 1936. Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego.

Józef Piłsudski w Warszawie. Warszawa 1936. „Kronika Warszawy“.

MICHAŁ SOKOLNICKI: *Czternaście lat*. Warszawa 1936. Instytut Badania Najnowszej Historji Polski.

Rocznik Jubileuszowy XX-lecia Koła Historyków S. Uniw. J. P. w Warszawie 1916—1936. Warszawa 1936.

PEDAGOGIKA

JÓZEF MIRSKI: *Wychowanie i wychowawca*. Warszawa 1936. „Nasza Księgarnia“.

A. ŻABINSKA: *Jak białowieskie rysice zostały warszawiankami*. Warszawa 1936. „Nasza Księgarnia“ (Opowieści Przyrodnicze Nr. 1).

KRAJOZNAWSTWO

F. ANTONI OSSENDOWSKI: *Puszcze polskie*. Poznań (1936). Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Serja „Cuda Polski“.

LONGIN MALICKI: *Zarys kultury materialnej górali śląskich*. Katowice 1936. Nakładem Muzeum Śląskiego.

SPROSTOWANIE. Do artykułów B. Korzenińskiego w trzech numerach *Pionu* wkrały się następujące pomyłki: nr. 14, str. 5, szpalt 3, w. 10 od dołu zamiast: *zmarwień*. *Takim należy czytać: zmarwień, jakim*; nr. 15, str. 11, szpalt 2, w. 54 od dołu zamiast: *dyskusję* ma być: *dyskreję*; nr. 16, str. 7, szpalt 4, w. 5 od góry zamiast: *mętnej* powinno być: *mężnej*; dalej — w tej samej — szpalcie, w. 48 od góry, zamiast: *bezruchowoci* ma być *bezzadności*; wreszcie — również w tej samej szpalcie, — w. 55 od góry, zamiast: *rozkosz* ma być: *rozpaczy*. Poza tem w nr. 15 (artykuł K. Irzykowski), str. 3, szpalt 3, w. 17 od dołu, zamiast: *z VII gimnazjum* powinno być: *z VII gimnazjalnej*, a na str. następniej, szpalt 3, w. 35 od góry, zamiast: *stuszować* ma być: *streszczać*.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

St. Lant. — Wiersz *Maska*, *Pożar na wsi* i *Tęcza* nie wydrukujemy.

J. O. — Z łaskawie nadesłanego nam artykułu *Porozmawiajmy* nie skorzystamy.

M. A. J. — Za życzenia dziękujemy. Z artykułu o T. Lenarce nie skorzystamy.

B. O. — Brak miejsca nie pozwala nam skorzystać z interesującego artykułu p. t. *Dziedzina sztuki a dziedzina zabawy*.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., 1/2-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI